

PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA W BIAŁYMSTOKU



22756

Biblioteka Pedagogiczna CEN
nr inw. KG - 22756



BC KSK / 22756

KSIĄZKI
IGNISA



au point
VILLIERS DE L'ISLE-ADAM

AKEDYSSERIL

1 9 2 2

KSIAŻKI IGNISA

Tom III



A decorative border in a muted green color frames the page. It features a repeating pattern of stylized roses and acanthus leaves.

KSIĄŻKI IGNISA

TOM III

✓

VILLIERS DE L'ISLE-ADAM
AKEDYSSERIL

TOW. WYDAWNICZE „IGNIS”
SP. AKC.

Tłumaczył z francuskiego
WACŁAW ROGOWICZ

*Odbito 3200 egz. na papierze zwy-
czajnym i 15 egz. na papierze
czerpanym w Zakł. Graf.*

*B. Wierzbicki i S-ka
w Warszawie
1922*

Nr 298



840-3

22756

PRZENIKLIWOŚĆ ASPAZJI

Pewnego wieczora Alcybjades, znalazłszy ogon swego psa w złotym warkoczu Aspazji, w czasie snu wielkiej hetery, oparł się w zadumie łokciem o kobierzec korynckiej, ich łożo rozkoszy

Ten lekki ruch zbudził młodą kobietę, na widok kosmatego przedmiotu, który oglądał znakomity efeb, spojrzenie jej rzuciło z pod rzęs cierpki błysk.

— Więc to ty obeszcłaś się tak okrutnie z moim jedynym przyjacielem? — rzekł.

— Ja. wybacz! — odparła Aspazja.

— Czy to z rozkazu Bogów?

— Tak, z polecenia Pallady! — rzekła, nie wzruszając się jego sarkazmem.

— Raczej na skutek jakiejś oficjalnej opinii Areopagu! . Czyż ośmieszenie, dziecinne bodaj, nie wystarcza, by obalić zaufanie tłumu?... Niech tam, przebaczam im, gdyż potrafią mnie oni bardziej bawić, niż nienawidzić.

Aspazja potrząsnęła głową.

Podstępny Ateńczyk, chcąc znaglić ją do szyb-

szych wyjaśnień, dodał wnet z miną wyniosłej obojętności

— Oh, zachowaj swój sekret!

Z temi słowy cisnął daleko od siebie na płyty komnaty, skroś mrok, zbłękitniony światłem lampy, śmiechu godny, melancholijny przedmiot.

Wtedy Aspazja przyciągnęła pod czar swych warg czoło młodego bohatera i subtelnie, z dumą bojownicy, w pocałunku.

— Mniej pozy, dziecko. Ja ustępuję! — odparła. — Dlaczego dopuściłam się tego czynu? Dlatego, że serce moje zapłonęło ku tobie jasnowidzącą miłością.

Na te słowa syn Klinjasa zrobił wielkie oczy.

— Czy to racja, żeby obcinać ogon memu psu?! — zawołał.

Lecz poważna kurtyzana, z oczyma skąpane mi we łzach wspaniałych, spadających jak długie djamenty z błyskami rozerwanego naszyjnika na otok marmurowej szyi Alcybjadesa, rzekła

— Drogi mój, jestem, wiesz o tem, kobietą, której umysł daje się porwać złudzeniu dla rozrywki jeno, która posiada instynkt tak jasny, jak myśl Sokratesa. Posłuchaj mnie! — Biała istota zdawała się skupiać przez chwil kilka.

— W wieku, kiedy inni młodzieńcy zaledwie opuszczają gimnazja, — ciągnęła — nie jest=żęś

wodzem znamienitym, uwieńczonym krwawym wawrzynem Potidei?... retozem potężnym, przed którego słowem drży krasomówstwo archontów? . mężem stanu, którego dwulicowość zgnębiła dyplomację Wysłańców perskich? Co myśleć o tobie, boski młodzieńcze? o tobie, kochanku Aspazji? — Dla tych, którzy cię oskarżają za twe królewskie bogactwa, trwonisz je niedbale w swej wzgardliwej zemście. Nie schyłasz karku, ty, najświeńniejsze dziecię Aten, przed niczem, krom twojej własnej woli! Patrz, czyż przepych i świetność twych orgij nie zamknęły ust zdumieniem Tissafernesowi, wybladłemu satrapie? A twa wstrzemięźliwość później, kiedy podobało ci się być trzeźwym, zali nie zdziwiła Diogenesa do tego stopnia, że posępny poszukiwacz człowieka dał dla niej zgasnąć swej latarce? — Kim=że ty jesteś, sceptyczny zbawco ojczyzny? Wszyscy cię uwielbiają! Ja nawet uświeńniam się jeszcze w twych objęciach, i to kobiecie uczucie pomnaża rozkosze mej miłości... Ateny są równie dumne z Alcybjadesa, jak ja! Dumniejsze nawet, niż z Peryklesa!

Przeto, że ideałem moim jest, by imię twoje było nieśmiertelne, jabym powinna być na zawsze szczęśliwa, skoro według tylu wróżb już ono, zda się, zginać nie może.

Przy tych słowach drżący pocałunek bohater-
skiego młodziana jął wchłaniać z ust Aspazji du-
chy chwały i miłości, które w entuzjastycznym
technieniu tej kochanki ulatywały, podobne wypły-
wom żywego kwiatu.

Podjęła

— Lecz znając płochosć niwdzięczności ludz-
kiej i wiedząc, jaką pastwą żywią się w Dziejach
uwielbienia narodów, znając ich pamięć o wiel-
kich mężach — lękałam się coraz bardziej o los
twego imienia w ciągu wieków! I patrz! w osta-
tnich dniach, gdy na igrzyskach olimpijskich lud
witał okrzykami twe triumfy poety, artysty i atle-
ty — byłam zrozpaczona.

Niestety! — mówiłam sobie — ludzie nie chcą
czy też nie potrafią zachować w swej pamięci
nikogo, krom tych herosów jednolitych, wcielo-
nych w jeden czyn, w jedno marzenie, jak po-
sągi! Lecz ty, tak różnolity! Ty, w którego
osnowie tyle cech przeczy sobie wzajem! Jaki
rapsod potrafi kiedy określić ukrytą pod tyłu obli-
czami jedność twej tajemniczej natury i przez to
uczyni cię dostępnym pamięci człowieczej? Rychło
toną w niepamięci ci, których charakter, wraz
wzniosły i nieuchwytny, urąga zdrowemu rozsąd-
kowi większości! Czem zmusić tłum, by zapa-
mętał sobie wyraźnie takiego człowieka, jak ty?

Niebawem doszłam do takiego wniosku:

Ponieważ do twego rodzaju wielkości żadna
pospolita miara zastosować się nie da, trzeba do-
rzucić do twych dziejów... tak... jakiś fakt, rów-
nie niezwykle jak małej wagi, lecz którego błą-
hość sama, pasując do poziomu inteligencji mas,
narzuciłaby społem przypomnienie i o twych wiel-
kich czynach.

Oh! to *nic*, ten rys, bez znaczenia być mo-
że, lecz dosadny i popularny utrwaliłby twe imię
w Historji w sposób nie zrównanie pewniejszy, niż
same twe wielkie czyny!

I zdało mi się, że dzięki temu szyderczemu
szczegółowi (który trzeba było wymyślić i wśliz-
nąć go między roczniki twego życia) pamięć ca-
łej sławnej drogi twych przeznaczeń mogłaby już
pewną stopą przejść do Potomności.

Lecz, na Minerwę! skąd wziąć fortel najlepszy,
jaką genialną począć go błyskawicą? jak wybrać?

Bez niego, zdawało mi się, że widzę, jak za-
ciera się w oddali wieków i rozprasza się z wia-
trem złowrogim, ciągnącym od brzegów Lety,
piękny złoty piasek twych szczęśliwych losów

Wczoraj o świcie, zaniepokojona cała temi
myślami nocy, wyszłam, zawołowana od stóp
do głów, z tego pałacu, gdzieś ty spał jeszcze,
nie dbając o słońce.

Dokoła mnie marmury ateńskie, pod naszymi wielkimi oliwkami, nieciły skry różanych ogni poranku, tam w dali, na świętem wzgórzu, chrám Pallady wzywał moje kroki. Tchnienie Bogów zawiodło mnie tam.

Złożywszy bogini (która je lubi) ofiarę z pary pawi, zostałam natchniona przez nią, przed samym ołtarzem, czynem przedziwnym, który widzę to jasno, uchronić najlepiej imię twoje przed zagubą w Niepamięci — czyn, którego ironja pogardliwa, jak puklerz zwycięski, winna nadać imieniu Alcybjadesa trwałość niezniszczalną. — O, młody bogu, twa istotna chwała może być nie uznana przez przyszłe pokolenia! Twoja piękność, twa mądrość, twe męstwo, świetność twego genjuszu, wszystko to, czegoś dokonał dla ojczyzny, już dwukrotnie przez ciebie ocalonej, — to wszystko może się rozpętać bezładnie w pamięci ludzkiej, stać się prawie nieznane. Lecz dzięki mnie — oto jesteś pewny nieśmiertelności. obciąłam ogon twemu psu!

UCZUCIOWOŚĆ

Pewnego wiosennego wieczoru dwoje młodych ludzi dobrze wychowanych, Lucyna Emery i hrabia Maksymiljan de W***, siedziało pod wielkimi drzewami jednej z alei Pól Elizejskich. Lucyna to ta piękna młoda kobieta, nosząca zawsze toalety czarne, której twarz ma błądź marmuru i której historia jest nieznana.

Maksymiljan, o którego tragicznym końcu dowiedzieliśmy się, *był* poetą zdumiewającego talentu. Ponadto był mężczyzną dobrze zbudowanym i doskonałych manier. Jego oczy, odbijające światło inteligencji, były czarujące, lecz, jak drogocenne kamienie, nieco zimne.

Stosunek ich trwał zaledwie od sześciu miesięcy.

Otóż owego wieczoru patrzyli w milczeniu na niejasne sylwety pojazdów, cieniów, przechodniów.

Naraz pani Emery wzięła łagodnie swego kochanka za rękę:

— Czy nie wydaje ci się, mój drogi, — rzekła — że wielcy artyści, jak ty, podniecając się nieu-

stannie wzruszeniami sztucznymi i, że tak powiem, abstrakcyjnymi, dochodzą wreszcie do przytępienia w sobie zdolności odczuwanie *realnie* cierpień lub rozkoszy, przeznaczonych im od Losu. Co najmniej, wykładacie z pewnym przymusem — przez co możecie uchodzić za nieczułych — uczucia osobiste, których życie każe wam doświadczać. Zdaje się wtedy, widząc zimny wymiar waszych ruchów, że serce bije w was jedynie przez kurtuazję. Sztuka zapewne prześladowe was stałem zaabsorbowaniem, nawet w miłości i w cierpieniu. Badając wciąż te właśnie uczucia w ich stanach złożonych, obawiacie się zbyt, by nie być niedoskonałymi w przejawianiu ich, nieprawdaż?... by nie zgrzeszyć przeciw ścisłości w wyłożeniu waszych niepokojów?... Nie potrafilibyście wyzbyć się tej ubocznej myśli. Ona paraliżuje w was najlepsze porywy i hamuje wszelki naturalny wylew uczuć. Można by rzec, że panując w innym świecie, tutaj czujecie się wciąż otoczeni przez tłum niewidzialny, gotów do nagany lub owacji.

Słowem, gdy was, spotka szczęście lub wielkie nieszczęście, pierwszą rzeczą, jaka się w was budzi, nawet wprzód, nim umysł wasz zda sobie jasno sprawę z tego, co was spotkało, jest niejasne pragnienie iść na poszukiwania jakiegoś świetnego komedjanta i zapytać go, jakie gesty,

którym winniście dać się unieść, przystoją w danych okolicznościach. Czyż więc Sztuka miałaby prowadzić do zatwardziałości serca?... To mnie niepokoi.

— Lucyno, — odpowiedział hrabia — znałem pewnego śpiewaka, który przy łożu śmierci swej narzeczonej, słysząc, jak siostra jej zanosi się od szlochów konwulsyjnych, nie mógł się powstrzymać od zwrócenia uwagi, mimo cały swój ból, na wadliwą emisję głosu, która go uderzała w tych szlochach, i marzył błędnie o ćwiczeniach, mogących nadać im «więcej ciała». To wydaje ci się wstrętne?... Atoli nasz śpiewak nie przeżył tej rozłąki, a ta, co została przy życiu, rzuciła żałobę akurat w dniu, w którym upłynął termin, przepisany przez zwyczaj.

Pani Emery spojrzała na Maksymiljana.

Biorąc pod uwagę to, co słyszę, — rzekła — byłoby trudno oznaczyć dokładnie, na czym polega prawdziwa wrażliwość uczuć i po czym można ją poznać.

— Najchętniej rozproszę twe wątpliwości w tej sprawie — odparł pan de W*** z uśmiechem. — Lecz terminy... techniczne... są niemile, i obawiam się...

— Dajże pokój! ja mam bukiet fiołków parmeńskich, ty masz cygaro, słucham cię.

— A więc dobrze, będę posłuszny — odrzekł Maksymiljan. — Fibry mózgowe, odbierające wrażenia radości lub cierpienia, wydają się, powiadasz, jakby zwiotczałe u artysty, wskutek tego nadużycia emocyj intelektualnych, jakie z konieczności wywołuje codzienny kult Sztuki? — Ja zaś, przeciwnie, uważam je za nastrojone na najwyższy ton, te fibry tajemnicze! — Ogół ludzi zda się być obdarzony cechami uczuciowości solidniejszemi, namiętnościami bardziej szczeremi, bardziej *serjo* wreszcie?... A ja cię upewniam, że spokój ich organizmów, jeszcze nieco zaćmionych przez Instynkt, zniewala ich do dawania nam jako najwyższych wyrazów uczuć — prostego rozpasania zwierzęcości.

Obstaję przy tem, że serca ich i mózgi obsługiwane są fatalnie przez centry nerwowe, które, pogrążone w zwykłym dla nich otępieniu, odzywają się rezonansem drgań nieskończonego uboższych ilościowo i głuchszych, niż nasze. Możnaby rzec, iż spieszą się rozwiać w krzykach swe wrażenia jedynie w tym celu, by stworzyć sobie iluzję samych siebie lub zgóry usprawiedliwić się przed sobą z inercji, do której, czują to dobrze, powrócą.

Te natury bez echa są tem, co świat nazywa ludźmi «z charakterem», — są to istoty, serca

gwałtowne o wartości zera. Przestańmyż dać się oszukiwać bezbarwności ich krzyków. Obnażać swą słabość w tajemnej nadziei zarażenia nią innych, by wyzyskać, conajmniej we własnem przypuszczeniu, rzeczywiste wzruszenie, jakie udaje się tą drogą wzbudzić u niektórych osób, dzięki temu nędznemu udawaniu, — to przystoi tylko istotom niedojrzałym.

W imię jakich istotnych praw pozwalają oni sobie wyrokować, iż te wszystkie miotania się więcej niż podejrzanego gatunku są zasadą wyrażania cierpień lub upojen życiowych, i oskarżać o nieczułość tych, którym wstydlivość każe powstrzymywać się od tego? Czyż promień światła, padający na diament, tkwiący w rudzie, lepiej się w nim odbija, niż w diamencie dobrze oszlifowanym, dokąd przenika samo ognisko blasku? Doprawdy ci i te, którzy dają się wzruszać wyłącznie uczuć w surowym stanie, są to ludzie, którzy przekładają bezład zgiefku nad głębokie harmonijne melodie oto wszystko.

— Przepraszam cię, Maksymiljanie, — przerwała pani Emery — słucham twej nieco wyszukanej analizy ze szczerem podziwem... lecz będziesz tak łaskaw powiedzieć mi, która to godzina bije?

— Dziesiąta, Lucyno! — odparł młody człowiek, patrząc na zegarek przy zarzewiu cygara.

— A!... Dobrze. Mów dalej.

— Skądże ten niepokój, rzadki u ciebie z racji mijającej godziny?

— Gdyż to jest ostatnia godzina naszej miłości, mój drogi! — odpowiedziała Lucyna. — Zgodziłam się na spotkanie z panem de Rostanges o wpół do dwunastej, dziś wieczór, zwlekałam z powiedzeniem ci tego do ostatniej chwili. — Czy masz do mnie o to urazę?... Wybacz mi, proszę.

Jeśli hrabia na te słowa stał się trochę bledszy, dobroczynna ciemność skryła tę oznakę wzruszenia, najłżejszem drżeniem nie zdradził tego, co istota jego musiała znieść w tym momencie.

— A! — rzekł głosem równym i harmonijnym — młody człowiek bez zarzutu i zasługujący na twe przywiązanie. — Przyjmij więc moje pożegnanie, droga Lucyno — dodał.

Poniósł do ust rękę swej kochanki i pocałował.

— Kto wie, co przyszłość nam gotuje? — odpowiedziała mu Lucyna z uśmiechem, aczkolwiek trochę zdumiona. — Rostanges jest jeno kaprysem, któremu nie mogę się oprzeć. A teraz — dodała po krótkiej ciszy — mów dalej, przyjacielu, proszę cię. Chciałabym, zanim się rozstaniemy, dowiedzieć się, *co daje prawo wielkim artystom tak gardzić zachowaniem się innych ludzi.*

Przeszła chwila niema, straszliwa, między dworgiem kochanków

— Odczuwamy, jednym słowem, zwykłe wrażenie — mówił znów Maksymiljan — z taką samą siłą napięcia, jak ktokolwiek. Tak, fakt naturalny, *instynktowy* wrażenia czujemy fizycznie zupełnie tak samo, jak inni ludzie! Lecz to tylko *w pierwszej chwili* odczuwamy go w ten arcyłudzki sposób.

Prawie niepodobna uzewnętrznic jego natychmiastowych *przedłużeń* w nas, i to sprawia, że wydajemy się w wielu okolicznościach prawie zawsze jakby sparaliżowani. W chwili, gdy inni ludzie doszli już do zapomnienia z braku dostatecznej żywotności, one rosną w naszej istocie, uważasz, jak szum bałwanów, gdy podchodzi się do morza. Odbieranie przez świadomość tych tajemnych przedłużeń, tych nieskończonych i cudownych drgań — to jedno tylko decyduje o wyższości naszej rasy. Stąd owa pozorna niezgoda między myślami a zachowaniem się, kiedy jeden z nas próbuje, na przykład, wyłożyć w sposób ogólnie przyjęty to, czego doświadcza. Pomyśl, jaka odległość dzieli nas od tych czasów pierwotnych Uczucia, od tak dawna zaginionych w głębi naszego umysłu! Stłumiony dźwięk głosu, anemalja gestów, poszukiwanie słów — wszystko jest

w sprzeczności ze szczerością, będącą w obiegu, i z banalnością wysławiania się, zastosowaną do sposobu odczuwania większości. Dźwięczymy fałszywie jesteśmy, według nich, z łodu. Kobiety, obserwując nas wtedy, nie mogą przyjść do siebie z podziwu. Wyobrażały sobie chętnie, że my również zaczniemy się miotać, przynajmniej trochę, — i że wreszcie odpłyniemy w te właśnie «obłoki», gdzie, rozumie się, szukają schronienia «poeci», według gadki, rozpowszechnionej celowo przez Burżuazję. Jakież zdumienie, gdy widzą, że dzieje się wręcz przeciwnie! Wzgardliwa odraza, jaką czują po takim odkryciu dla tych, którzy je wyprowadzili w pole co do nas, przechodzi wszelkie granice — i gdyby nam zależało na zemście, zemsta taka mogłaby nam dostarczyć nielada rozrywki.

Nie, Lucyno, nie przypada nam do smaku przedstawiać się w fałszywym świetle w tych kłamliwych wynurzeniach, w których ludzie pokazują siebie. Napróżno sililibyśmy się wdziać znowu na grzbiet wszystkie te łachmany ludzkie, porzucone w naszym przedpokoju od niepamiętnych czasów! — Zidentyfikowaliśmy się z samą istotą Radości! z żywą ideą Cierpienia! Cóż chcesz? Już tak jest. — My jedni wśród ludzi doszliśmy do posiadania własności, boskiej prawie

przemieniania, za prostym dotknięciem, rozkoszy Miłości, na przykład, lub jej katuszy we wrażeń o niewzłocznym charakterze wieczności.

W tem tkwi nasza niewysłowiona tajemnica!

Instynktowo nie dajemy jej przeglądać z nas, — by oszczędzić, ile tylko możemy, naszym bliźnim wstydu, że uważają nas za niezrozumiałych. — Niestety! jesteśmy podobni do owych potężnych kryształów, gdzie spoczywa na Wschodzie czysty wyskok umarłych róż, a które zamyka hermetycznie potrójna pokrywa z wosku, złota i pergaminu.

Jedna kropla ich esencji — tej esencji, przechowywanej w ten sposób w wielkiej drogocennej amforze (fortunie całego rodu, przechodzącej dziedzinie z pokolenia w pokolenie, jako skarb uświęcony błogosławieństwem przodków) — wystarcza do przeniknięcia wielu miar czystej wody, zapewniam cię, Lucyno! A one znowu starczą do napełnienia wonią wielu domów, wielu grobów, na długie lata!...

Lecz niepodobni zgoła jesteśmy (i w tem nasza zbrodnia) do tych flakonów, napełnionych banalnymi perfumami, smutnych i jałowych flaszek, których najczęściej nie zatyka się, i ich własności kwaśniej lub ulatniają się z każdym podmuchem. — Zdobywszy czystość wrażeń, niedostępną dla profanów, stalibyśmy się we własnych oczach kłam-

cami, gdybyśmy używali zapożyczonych pantomim i «uświęconych» wyrażeń, któremi zadowala się pospólstwo. Sumienie nakazywałoby nam rozwiązać ich przekonanie, gdyby uwierzyli, bodaj na jeden moment, pierwszemu krzykowi, jaki niekiedy wyrывa nam z piersi szczęśny lub nieszczęśny wypadek. — W imię słusznego pojęcia Szczerości winniśmy być trzeźwi w gestach, skrupulatni w słowach, powściągliwi w entuzjazzmach i skryci w cierpieniach.

«Więc *gatunkowi* naszych władz uczuciowych zawdzięczamy te obwiniania nas o oschłość?...

«Doprawdy, droga Lucyno, gdyby nam zależało (co nie daj Boże!) na tem, by przestać być nierozumianymi przez większość osobników, — by domagać się od ich rozumu innego hołdu, niż obojętności: byłoby pożądane, istotnie, żeby, jak dopiero co powiedziałaś, w ważnych wypadkach jaki dobry aktor stanął za naszymi plecami, wsunął swe ramiona nam pod pachy i mówił i gestykulował na nasz karb. — Wtedy byłibyśmy pewni, że wzruszymy tłum, poruszając jedynie dostępne mu struny.

Pani Emery wpatrywała się w głębokiej zadumie w hrabiego W***

— Lecz doprawdy, mój drogi Maksymiljanie — zawołała — dojdiesz tą drogą do tego, że nie będziesz śmiał powiedzieć «dzień dobry» lub «dobry

wieczór», z obawy, by to nie wyglądało na... zażyczanie się — u ogółu śmiertelników!

Masz chwile przedziwne i niezapomniane, przyznaję, i dumna jestem, że ci je natchnęła... — Niekiedy olśniewałeś mnie głębią swego serca i słodczą wylewów twej tkliwości, tak, aż do jakiegoś zachwycenia, którego dziwne i wzruszające wspomnienie zabieram ze sobą na zawsze!... Ale, cóż chcesz!... wymykasz mi się — spojrzeniem tam, dokąd nie mogę iść za tobą! — i ja nigdy nie będę zupełnie pewna, że ty sam doznajesz w inny sposób, niż jeno imaginacyjny — tego, co dajesz odczuwać. — Oto powód, Maksie, dla którego muszę się z tobą rozłączyć.

— Ja też wyrzekam się wygody być *pospolitym*, choćbym miał narazić się na pogardę dzielnych ludzi, którzy (być może, słusznie) uważają siebie za lepiej zorganizowanych, niż ja — odparł hrabia. — Zresztą, dzisiaj wszyscy, zdaje mi się, przestali odczuwać cośkolwiek. Mam nadzieję, że niebawem będzie w każdej stolicy po cztery lub pięć setek teatrów, gdzie codzienne wydarzenia życiowe będą grane wyraźnie lepiej, niż w rzeczywistości, więc też nikt nie będzie sobie zadawał trudu żyć własnem życiem. Gdy komu się zachce roznamiętniać się lub wzruszać, kupi sobie bilet do teatru — to będzie daleko prościej. Ta

skrócona droga czyż nie będzie po tysiąckroć po-
żądańsza z punktu widzenia zdrowego sensu?...
Pocóż się wyczerpywać w namietnościach, prze-
znaczonych na zapomnienie!... Czegóż to się nie
zapomina potrochu w ciągu półroczu? — Ach!
gdybyś wiedziała, ile milczenia nosimy w sobie?...
Lecz, wybacz, Lucyno już wpół do jedenastej,
i byłbym niedyskretny, gdybym ci o tem nie przy-
pomniał po twem niedawnem zwierzeniu rzekł
półgłosem Maksymiljan, uśmiechając się i powsta-
jąc z miejsca.

— Twój wniosek?... — rzekła. — Zdążę na czas.

— Wniosek mój jest taki — odparł Maksy-
miljan —, że kiedy ktoś wykrzykuje z powodu któ-
rego z nas, bijąc się w przednią deskę klatki pier-
siowej, jakby dla zagłuszenia pustki, jaką czuje
w sobie «On ma za dużo inteligencji, by mógł
mieć serce!» — to, naprzód, jest nader prawdopo-
dobne, że ów ktoś wpadłby w pasję, gdyby mu
odpowiedziano, że on zasię ma «za dużo serca,
by mógł mieć inteligencję!», co dowodzi, że
w gruncie rzeczy nie wybraliśmy najgorszej czę-
ści, nawet zdaniem tego, który nam z niej czyni
zarzut. Dalej, czy zdajesz sobie sprawę, co ozna-
cza to zdanie, gdy je poddamy bacznej analizie?
To tak, jakby kto rzekł «Ta osoba jest zbyt
dobrze wychowana, by zadawała sobie trud mieć

dobrze ułożenie!» Na czem polega dobre ułożenie?
Tego ani prostak, ani człowiek naprawdę dobrze
wychowany nigdy wiedzieć nie będą, mimo wszyst-
kie kodeksy przyzwoitości dla dzieci i pocziw-
ców Tak iż to zdanie wyraża jedynie, w naiwny
sposób, instynktową i, że tak powiem, *melancho-
lijną* zawiść pewnych natur wobec naszej. Co
nas w istocie dzieli, to nie jest różnica: to jest nie-
skończoność.

Lucyna powstała i ujęła pod ramię pana de
W***

— Wynoszę z naszej rozmowy ten aksjomat —
rzekła — iż, żeby nie wiem jak sprzeczne z uczu-
ciami wydawały się twe słowa i zachowanie się
czasami, w ciężkich lub radosnych okolicznościach
twojego życia, nie dowodzą one ani trochę, byś był.

Z drewna!... — dokończył hrabia z uśmiechem.

Patrzyli na przejeżdżające z zapalonemi świa-
tłami dorożki. Maksymiljan skinął na jedną z nich,
podjechała. Gdy Lucyna wsiadła, młody człowiek
skłonił się w milczeniu.

— Do widzenia! — zawołała Lucyna, posyłając
mu całusa.

Powóz oddalił się. Hrabia, oczywiście, odpro-
wadzał go jakiś czas wzrokiem; poczem, idąc
z powrotem aleją, pieszo, z cygarem w ustach,
powrócił do domu, w rotundzie Pól Elizejskich.

Gdy znalazł się sam w swym pokoju, siadł przed biurkiem, wyjął z neseseru pilniczek i zdawał się pochłonięty starannem polerowaniem paznokci.

Potem napisał parę wierszy o pewnej. dolinie szkockiej, której wspomnienie nawinęło mu się, w dość dziwny sposób, wśród przypadkowych myśli.

Przeciął kilka kartek nowej książki, przerzucił je — i cisnął tom.

Wybiła druga po północy przeciągnął się.

— To bicie serca jest doprawdy nie do zniesienia! szepnął.

Wstał, zapuścił ciężkie firanki i portjery, podszedł do sekretarzyka, otworzył go, wyjął z szufłady mały pistolet kieszonkowy, stanął przy sofie, przyłożył broń do piersi, uśmiechnął się i wzruszył ramionami, zamykając oczy.

Rozległ się głuchy strzał, stłumiony przez draperje, trochę niebieskawego dymu dobyło się z piersi młodego człowieka, który upadł na poduszki.

Od tej pory, kiedy zapytują Lucyne, dlaczego nosi ciemne toalety, odpowiada swym wielbicielom swobodnym tonem:

— Hm! cóż pan chce! W czarnym kolorze tak mi do twarzy!

Ale jej żalobny wachlarz drży wtedy na jej piersi, niby skrzydło nocnego motyla na nadgrobnym kamieniu.

DUKE OF PORTLAND

Przed paru laty, po swym powrocie ze Wscho=du, Ryszard książę Portlandu, młody lord, niegdyś głośny na całą Anglię ze swych uczt nocnych, zwycięskich folblutów, mistrzostwa w walce na pięści, polowań na lisy, zamków, bajecznej fortuny, awanturnicznych podróży i przygód miłosnych — raptownie zniknął.

Jeden jedyny raz, pewnego wieczoru widziano jego odwieczną pozłocistą karocę, jak pędziła z zapuszczonemi firankami, potrójnym galopem, otoczona hajdukami z pochodniami, przez Hyde-Park. Poczem — zamknięcie się, równie nagłe jak dziwne, — książę usunął się do swego rodzinnego zamku, stał się samotnym mieszkańcem tego potężnego warownego zamczyska, zbudowanego przed wiekami, pośród ponurych ogrodów i zadrzewionych polan, na cyplu Portlandu.

Tam za całe sąsiedztwo miał czerwony ogień, oświetlający o każdej porze poprzez mgłę ciężkie statki, kołyszące się na pełnem morzu i krzyżujące na widnokręgu smugi swych dymów.

Rodzaj ścieżki, wiodącej spadzisto ku morzu, kręta droga, wykuta w skalnej opoce, obramowana na całej długości dzikimi chojarami, rozwiera na dole swą ciężką złoconą kratę na piasek plaży, wynurzającej się z wody w godzinach odpływu.

Za panowania Henryka VI-go wyłoniło z siebie legendy to obronne zamczysko, pełne bogactw feudalnych, widnych przy świetle, przepuszczonem przez witraże.

Na murach, łączących siedem baszt, czuwają do dziś dnia jeszcze, w każdym załamie blanków, tu grupa łuczników, ówdzie jakiś rycerz kamienny, wykuci czasu wojen krzyżowych w postawach walczących.*)

Nocą te posągi, których oblicza, teraz zatarte przez nawałne deszcze i niepogody kilkuset zim, mają wyraz powielekroć zmieniony retuszem piorunów — przedstawiają widok widmowy, wywołujący z łatwością wizje, nasycone zabobonem. I kiedy fale, spiętrzone przez nawałnicę w wielokształtne masy, wałą w ciemnościach o przylądek

*) Zamek Northumberland odpowiada daleko lepiej temu opisowi, niż zamek Portland. Czyż trzeba dodawać, że choć osnowa i większość szczegółów tej historii są autentyczne, autor musiał zmodyfikować nieco nawet samą osobę księcia Portlandu — skoro opisuje tę historję *tak, jakby powinna była się rozegrać.* (Przyp. autora)

Portlandu, wyobraźnia zbłąkanego przechodnia, spieszącego wybrzeżem — wspomagana zwłaszcza przez blade płomienie miesiąca, lane na te cienie granitowe, — może śnić w obliczu tego kasztelu o jakimś odwiecznym ataku hordy złych duchów odpieranym przez bohaterską załogę zbrojnych widm — obrońców.

Co znaczyło to odosobnienie się angielskiego magnata bez troski? Uległ jakiemuś napadowi *spleen'u*? — On, to serce z natury tak żywe i wesołe! Niepodobieństwo!... — Jakiś wpływ tajemniczy, przywieziony z podróży na Wschód? Być może. — Zaniepokojono się na dworze tem zniknięciem. Przybył z Westminsteru wysłaniec Królowej do niewidzialnego lorda.

Tego wieczoru królowa Wiktorja, wsparta na rękę obok kandelabru, dała o niezwykle późnej porze posłuchanie. Przy niej na taburecie z kości słoniowej siedziała młoda lektorka, miss Helena H***

Od lorda Portlandu przyszła odpowiedź, opatrzona czarną pieczęcią.

Dziewczę, otworzywszy pismo książęce, przebiegło krótką treść listu błękitnemi oczyma, świetlistemi od uśmiechów niebios. Naraz bez słowa, z zamkniętymi powiekami wręczyła go Jej Królewskiej Mości.

Królowa tedy przeczytała sama, w milczeniu. Przy pierwszych słowach na twarzy jej, zazwyczaj zimnej, odbiło się wielkie smutne zdumienie. Nawet drgnęła, poczem, nic nie mówiąc, zbliżyła papier do zapalonych świec. — Opuszczając na posadzkę pożerany przez ogień list:

— Panowie — rzekła do tych parów, którzy znajdowali się w pobliżu, — nie zobaczycie więcej naszego drogiego księcia Partlandu. Nie może nadal zasiadać w Parlamencie. Zwalniamy go od tego przywileju, wywołanym koniecznością. Niech jego tajemnica będzie ściśle dochowana! Nie troszczcie się nadal o jego osobę, i niechaj nikt z jego gości nie stara się nigdy zwracać doń słowem.

Poczem, odpowiadając gestem starego kurjera zamkowego

— Powtórzysz księciu Partlandu, coś widział i słyszał przed chwilą — dodała, rzuciwszy okiem na czarne popioły listu. Z temi tajemniczymi słowy Jej Królewska Mość powstała, by oddalić się do swych apartamentów. Wszelako, na widok swej lektorki, nieruchomej i jakby uśpionej, z policzkiem opartym na młodem białym ramieniu, leżącym na purpurowej morze stołu, Królowa, jeszcze pod wrażeniem wiadomości, zwróciła się łagodnie:

— Idziesz za nami, Heleno?

Że młoda dziewczyna trwała wciąż w tej pozycji, zakrzętało się koło niej.

Nie zdradzając żadną bladłością swego wzruszenia — jakże zblednąć lilji? — zemdląca.

W rok po słowach, wypowiedzianych przez Jej Królewską Mość, — w burzliwą noc jesienną okręty, przepływające o parę mil od przylądka Portlandu, ujrzały zamek uiluminowany

Och! to nie była pierwsza z zabaw nocnych, wydawanych co sezon przez *nieobecnego* lorda.

I mówiono o tych festynach szeroko, gdyż ich ponura ekscentryczność graniczyła z 'fantastycznością', wobec niebrania w nich udziału przez księcia.

Przyjęcia te odbywały się nie w apartamentach zamkowych. Nikt tam nie miał wstępu, lord Ryszard, zamieszkujący samotnie wieżycę zamku, zdał się zapomnieć o nich. Zaraz po powrocie rozkazał pokryć olbrzymiami zwierciadłami weneckimi ściany i sklepienia obszernych podziemi tej siedziby. Podłoga [wyłożona była teraz marmurem i oślniewającą mozaiką. Materje, tkane w jednej sztuce, rozdzielone frendzlami, grodziły amfiteatr czarodziejskich sal, gdzie pod rzucającymi skry złotymi słupami, pełnemi światła, jawiło się urządzenie ich. wschodnie meble, haftowane w drogocenne arabeski, wśród roślinności podzwrotnikowej, fontann wonnych w porfirowych misach i pięknych posągów.

Tam, na przyjacielskie zaproszenie pana na zamku Portland, «ubolewającego, iż wciąż jest *nieobecny*», zbierał się świetny tłum, cała elita arystokratycznej młodzieży Anglii, najgłośniejsi artyści i najponętniejsze płóche piękności *gentry*. Lorda Ryszarda reprezentował jeden z *dawnych* przyjaciół. I rozpoczynała się wtedy noc, po książęcemu swobodna. Jeden tylko fotel, młodego lorda, na honorowym miejscu biesiady widniał pusty, i książęca tarcza herbowna, wieńcząca oparcie, była zawsze osłonięta długą żałobną krepą. Spojrzenia, podniecone niebawem trunkiem lub rozkoszą, odwracały się chętnie ku wdzięczniejszym obecnościom.

Tak o północy głuchły pod ziemią, w Portlandzie, w rozkosznych salach, wśród odurzających zapachów kwiatów egzotycznych wybuchy śmiechu, pocałunki, brzęk kryształów, bachiczne śpiewy i muzyka!

Lecz gdyby kto z gości o tej porze powstał był od stołu i dla orzeźwienia się morskiem powietrzem wyszedł z zamku, być może, w mroku, na wybrzeżu, poprzez szturm potępieńczych wichrów, bijących z otwartego morza, ujrzałby widok, zdolny zmącić jego dobry humor, przynajmniej na resztę nocy.

Istotnie, często o tej właśnie porze, w zakrętach alei, schodzącej ku Oceanowi, gentleman,

owinięty w płaszcz, z twarzą okrytą maską z czarnej materji, przylegającą do okrągłego kaptura, zasłaniającego całą głowę, kroczył, z ognikiem cygara w ręce, obciążonej w długą rękawiczkę, ku plaży. Jakby w jakiejś fantasmagorji w staroświeckim guście, dwóch siwowłosych służących poprzedzało go, dwóch innych szło za nim o kilka kroków, wznosząc dymiące czerwone pochodnie.

Przed nimi szło dziecko, również w żałobnej liberji, i paż ten uderzał raz na minutę krótko we dzwonek, ostrzegając zdaleka, by ustępowano z drogi temu przechodniowi. I wygląd tego małego orszaku pozostawiał wrażenie tak mrozące, jak kondukt skazańca.

Przed tym człowiekiem rozwierały się sztachety na brzeg morza, eskorta pozostawiała go samego, i wtedy podchodził do samych fal. Tam, jakby zatracony w rozpacznej zadumie, upajając się pustką bezkresu, trwał w milczeniu, podobny do kamiennych widm na murach zamkowych, pod wichrem, deszczem i błyskawicami, w obliczu ryczącego Oceanu. Po godzinie tej kontemplacji posępna postać, wciąż oświetlana pochodniami i poprzedzana biciem we dzwon, kierowała się ku wieżycy kasztelu ścieżką w skałę, którą schodziła nad morze. I nieraz, chwając się w powrotnej drodze, czepiała się twardych głazów opoki.

Rankiem dnia, poprzedzającego ten festyn je-
sienny, młoda lektorka królowej, wciąż w grubej
żałobie od chwili pierwszej wieści, modliła się
w kaplicy prywatnej Jej Królewskiej Mości, gdy
doręczono jej kartkę, napisaną przez jednego z se-
kretarzy księcia.

Zawierała tylko te dwa słowa, odczytane ze
drżeniem: «Dziś wieczorem».

Dlatego to około północy jedna z szalup kró-
lewskich zawinęła do Portlandu. Młodzieńcza po-
stać kobieca w ciemnym płaszczu wyszła z niej
na ląd, sama jedna. Wizja ta, rozejrzawszy się
po tonącym w mroku wybrzeżu, pospieszyła, bie-
gnąc ku blaskom pochodni w stronę, skąd wiatr
przynosił głos dzwonka.

Na piasku, wsparty o głaz, od czasu do cza-
su wstrząsany drgawkami agonji, człowiek z ta-
jemniczą maską leżał rozciągnięty w swym płaszczu.

— O, nieszczęsny! — wybuchnęło łkaniem, kry-
jąc twarz, młode zjawisko, znalazłszy się z obna-
żoną głową obok niego.

— Żegnaj żegnaj! — odpowiedział.

W oddali słychać było pieśni i śmiechy, do-
bywające się z podziemi feudalnej siedziby, której
iluminacja w odbiciu kołysała się na falach.

— Jesteś wolna!... — dodał, opuszczając głowę
na kamień.

— Jesteś wyswobodzony! — odparła biała przy-
była, wznosząc ku niebu, usianemu gwiazdami, ma-
ły krzyż złoty przed oczyma tego, który już nie
mógł mówić.

Po długiej ciszy, gdy ona trwała w tej po-
stawie przed nim, nieruchoma, z zamkniętymi
oczyma.

— Do *zobaczenia*, Heleno! — szepnął z głę-
bokiem westchnieniem.

Kiedy po godzinie oczekiwania słudzy pode-
szli, zobaczyli młodą dziewczynę na kłęczkach na
piasku, modlącą się obok ich pana.

— Księżę Portlandu zakończył życie — rzekła.

I wspierając się na ramieniu jednego z tych
starców, powróciła do szalupy, która ją przywiozła.

W trzy dni potem można było czytać w *Dzien-
niku Dworskim* wiadomość następującą

«Miss Helena H***, narzeczona księcia Port-
landu, przyjąwszy wyznanie katolickie, wstąpiła
w dniu wczorajszym do klasztoru Karmelitanek
w L***».

Cóż to więc była za tajemnica, która kwitną-
cego zdrowiem lorda do grobu wtrąciła?

Pewnego dnia, w czasie swych dalekich po-
dróży po Wschodzie, oddaliwszy się od swej ka-
rawany w okolicach Antjochji, młody książę w roz-
mowie z miejscowymi przewodnikami usłyszał

o żebraku, omijanym z przerażeniem i żyjącym samotnie wśród ruin.

Przyszło mu do głowy odwiedzić tego człeka, gdyż nikt nie wymknie się swemu przeznaczeniu.

Owóż, ten Łazarz grobowy był tu na ziemi ostatnim depozytariuszem wielkiego starożytnego trądu, Suchego = Trądu, na który niema środka, choroby nieuleczalnej, z której jeno jakiś Bóg mógł ongi uzdrowić legendowego Hioba.

Portland, sam jeden, mimo błagania oszalałych ze strachu przewodników, odważył się stawić czoło zarazie w pieczarze, gdzie dogorywał ten parjas Ludzkości.

Już na miejscu, przez junakierę wysokiego rodu szlachcica, nieustraszonego do szaleństwa, dając garść złota temu konającemu nędzarzowi, błady wielki pan zechciał koniecznie *uścisnąć mu dłoń*.

W jednej chwili jakaś mgła przesłoniła mu oczy

Wieczorem, czując się zgubionym, opuścił miasto i wnętrze kraju i przy pierwszych objawach choroby wszedł na statek, aby powrócić do swego zamku i tam usiłować wyleczyć się lub umrzeć.

Lecz wobec gwałtownych spustoszeń w organizmie, jakie ujawniły się w czasie podróży morskiej, książę ujrzał jasno, że nie mógł żywić innej nadziei, krom nadziei rychłego zgonu.

Stało się! Żegnaj, młodości, świetności starego nazwiska, miłująca narzeczono, potomności rodu! — Żegnajcie, siły, rozkosze, nieobliczalna fortuna, urodo, przyszłości! Wszystkie nadzieje zapadły w przepaść we wklęsłości dłoni straszliwej. Lord został dziedzicem żebraka. Sekunda brawury — jeden gest, *złżył* szlachetny, raczej! — całą tę promienną egzystencję zabrała tajemnica rozpaczliwej śmierci...

Tak zginął książę Ryszard of Portland, ostatni trędowaty na ziemi.

Na północ od Tonkinu, daleko w głąb lądu, prowincja Kuang=Si, bogata w złote pola ryżowe, rozpościera aż do centralnych księstw Państwa Środka swe miasta o zadartych dachach, z panującymi jeszcze tu i owdzie obyczajami napół tatarskimi.

W tej dzielnicy imperjum pogodna doktryna Lao=Tse nie zgasła jeszcze żywych wierzeń w Pussahy, rodzaj ludowych bóstw opiekuńczych Chin. Dzięki fanatyzmowi miejscowych bonzów zabobony chińskie, nawet w wyższych sferach, fermentują tutaj silniej, niż w prowincjach, mniej oddalonych od Pei=Tsin'u (Pekinu), różnią się one od wierzeń mandżurskich tem, iż dopuszczają interwencję *bezpośrednią* «bogów» w sprawach kraju.

Przedostatnim vice=królem tej olbrzymiej podległej cesarzowi krainy był gubernator Tsze=Tang, który zostawił po sobie pamięć bystrego, skąpego i okrutnego despoty. Oto jakiemu przemysłnemu sekretowi zawdzięczał ów władca, iż uniknąwszy

po tysiąckroć zemsty, dokonał dni swych w spokoju, otoczony nienawiścią swego ludu, z którego wrzącym gniewem, łaknącym jego krwi, igrał do samego końca bez troski ni trwogi.

Pewnego razu — na jakieś dziesięć lat może przed swoją śmiercią — w letnie południe, tak upalne, iż od żaru mora stawów stawiała się szklizem, liście pękały na drzewach, pył drożny mżył metalicznym blaskiem, — a deszcz płomieni lał się na mirjady obszernych, wysokich kiosków o trzech piętach, jakie, łącząc się kapryśnie w zygzaki ulic, tworzą stolicę Nan=Tszang, podobnie jak każde wielkie miasto Państwa Niebieskiego — w takie południe Tsze=Tang, siedząc w najchłodniejszej sali swego pałacu na czarnym siedzisku, inkrustowanem kwiatami z masy perłowej na pnączach z jasnego złota, wsparł się na łokciu, z podbródkiem w dłoni, z berłem na kolanach.

Za jego tronem wznosił się kolosalny posąg tajemniczego bóstwa Fo. Na stopniach czuwała straż, w łuskowych zbroicach z czarnej skóry, z dzidą, łukiem lub długim toporem w garści. Po prawicy stał ulubiony kat, wachlując władcę.

Oczy Tsze=Tanga błdziły po tłumie mandarynów, książąt krwi i dygnitarzy dworskich. Wszystkie czoła były nie do odgadnienia. Król, czując,

że jest nienawidzony, otoczony wyczekującymi okazji mordercami, pełen niejasnych podejrzeń, przyglądał się każdej grupie, w której rozmawiano półgłosem. Nie wiedząc, kogo zgładzić, dziwiąc się co chwila, że sam jeszcze żyje, dumał, milczący i złowrogi.

Jedna z kotar rozsunęła się, przepuszczając oficera, wiodącego za warkocz młodego nieznanego o dużych jasnych oczach i pięknem obliczu. Młodzieniec miał na sobie jedwabną suknię ognistej barwy, z pasem przetykanym srebrem. Padł plackiem przed Tse=Langiem.

Na pytające spojrzenie króla:

— Synu Nieba, — odpowiedział oficer — ten młody człowiek oświadczył, że jest jeno niskiego urodzenia obywatelem miasta i zwie się Tse=I=La. Jednakowoż, gardząc powolną Śmiercią, gotów jest dowieść, że wysłany został w misji do ciebie przez nieśmiertelnych Pussahów

— Mów — rzekł Tse=Lang.

Tse=I=La powstał.

— Panie, — zaczął spokojnym głosem — wiem, co mnie czeka, jeśli nie dotrzymam słowa. Tej nocy, w śnie strasliwym Pussahy okazały mi łaskę nawiedzenia i uczyniły mi dar w tajemnicy, olśniewającej rozum ludzki. Jeśli raczysz jej wysłuchać, poznasz, że zaprawdę nie jest ona ludz-

kiego pochodzenia, gdyż samo usłyszenie jej zbudzi w twej istocie nowe pojmowanie rzeczy. Jej własność udzieli ci natychmiast tajemniczego daru czytania — z zamkniętymi oczyma, w przestrzeni, jaka dzieli źrenice od powiek — *nakreślonych krwią imion tych wszystkich, którzy mogliby spiskować przeciw twojej władzy lub twemu życiu, w tym właśnie momencie, gdy w umyśle ich poczynalby się taki zamiar*. Przeto odąd będziesz na zawsze zabezpieczony przed wszelką zgubną niespodzianką i doczekasz starości w spokoju, w pełni twojej władzy. Ja, Tse=I=La, klnę się tutaj na Fo, którego wizerunek rzuca cię swój na nas, iż magiczna własność tej tajemnicy jest istotnie taka, jaką ci głoszę.

Na tę zdumiewającą przemowę zadrżało całe zgromadzenie, i cisza w niem zapanowała grobowa. Bezładna trwoga mąciła zwykłą niewzruszoność tych twarzy. Wszystkie spojrzenia skupiły się na młodym nieznanym, który stał nieustraszony, stwierdzając tem, iż jest posiadaczem i wysłańcem boskich czarów. Wielu, usiłując daremnie uśmiechać się, lecz nie śmiać spojrzeć jeden na drugiego, bladło mimowoli pod wpływem pewności siebie Tse=I=La. Tse=Lang obserwował dokoła siebie to kompromitujące zmieszanie. Wreszcie jeden z książąt, zapewne by ukryć swój niepokój, zawołał:

— Co nam ze słów szaleńca, pijanego opiumem!

Wtedy mandaryni, uspokoiwszy się, zauważyli

— Pussahy dają natchnienie jeno sędziwym bonzom pustyni.

A jeden z ministrów ozwał się:

— Naszą to jest rzeczą zbadać uprzednio i zdecydować, czy tajemnica, którą ten młodzieńiec rzekomo ma powierzona, warta jest, by ją przedłożyć wysokiej mądrości króla.

Na co rozdrażnieni dworzanie podrzucili:

— A on sam... być może, jest on właśnie jednym z tych, których sztylet, by ugodzić Pana naszego, czyha tylko na moment, gdy wzrok roz-targniony...

Uwięzić go!

Tsze=Tang wyciągnął nad głowę Tse=I=La swe berło z jaspisu, na którym błyszczały święte wyrazy

— Mów dalej — rzekł niewzruszony.

Tse=I=La zaczął znów mówić, trzepocąc dookoła policzków trzymanym końcami palców wachlarzykiem ze zrzyneków hebanu.

— Gdyby jakakolwiek tortura mogła skłonić Tse=I=La do zdradzenia jego wielkiej tajemnicy wyjawieniem jej komukolwiek, prócz samego króla, świadczę się Pussahami, którzy nas słuchają, nie-

widzialni — nie wybraliby mnie oni przenigdy na swego tłumacza! O, książęta! nie, nie paliłem opium, nie mam oblicza szaleńca, nie mam przy sobie żadnej broni. A tylko — ot, co dodam. Jeśli wystawiam się na ewentualność powolnej Śmierci, to dlatego, że taki sekret wart również, gdy okaże się, że jest prawdą, godnej jego nagrody. Ty sam, o królu, osądzisz wtedy, w swej sprawiedliwości, czy godzien jest ceny, jakiej za niego od ciebie żądam. Jeśli naraz, na sam dźwięk słów, które go objawia, uczujesz w sobie, pod zamkniętymi powiekami, dar jego żywej cechy — i cud, jaki sprawi! — że bogowie uczynili mnie wysoko urodzonym przez objawienie mi w błyskawicznym technieniu swych tajemnic — dasz mi Li=Tien=Se, twą córę promienną, książęcą oznakę mandaryna i pięćdziesiąt tysięcy liangów złota. — Przy wymawianiu słów «liangów złota» leciuchny rumieniec oblał policzki Tse=I=La; pokrył go szybkimi ruchami wachlarza.

Żądanie tak hojnej nagrody wywołało złośliwy uśmiech dworaków i zapaliło gniewem podejrzliwe serce króla, budząc w nim jego dumę i skąpstwo. Okrutny uśmiech wypęłzył i na jego wargi; parzył na młodzieńca, który bez trwogi dodał:

— Oczekuję od ciebie, Panie, przysięgi królewskiej na Fo, bóstwo tajemnicze, mszczące się

na krzywoprzysięzczach, iż zgadzasz się, zależnie od tego, czy sekret mój uznasz za rzeczywistość czy za chimerę, dać mi *tę* nagrodę lub zadać mi śmierć, jaką ci się żywnie podoba.

Tsze=Tang powstał z karła

— Zaprzysiężone — rzekł —, idź za mną.

W parę chwil potem — pod sklepieniami, oświetlonymi lampą, zawieszoną nad jego śliczną głową — Tse=I=La, przywiązany cienkimi sznurami do słupa, patrzył w milczeniu na króla Tsze=Tanga, którego wyniosła postać widniała w cieniu o trzy kroki przed nim. Król stał, oparty plecami o żelazne drzwi lochu, prawą rękę oparł o łeb metalowego smoka, wyłaniającego się z muru, o jednym oku, jakby wpatrującem się w Tse=I=La. Zielona suknia Tsze=Tanga rzucała jasne smugi, naszyjnik z drogich kamieni migotał tysiącem ognia, jedynie głowa jego, przewyższająca czarny dysk lampy, tonęła w mroku.

W głębinie ziemi nikt nie mógł ich słyszeć.

— Słucham — rzekł Tsze=Tang.

— Królu, — rzecze Tse=I=La — jestem uczniem czarującego poety, Li=Tai=Pe. Bogowie dali mi geniusz, jak tobie dali władzę: dodali mi jeszcze ubóstwo, by pogłębić moje myśli. To też dziękowałem im codnia za tyle łaski i żyłem spokojnie, bez pragnień — gdy oto pewnego wieczoru,

na najwyższym tarasie twego pałacu, nad ogrodami, w srebrzystej toni miesiąca ujrzałem córkę twoją, Li=Tien=Se, wietrzyk nocny słał pod jej stopy kłębam zapachy różnobarwnych kwiatów wielkich drzew. Od owej nocy pendzel mój przestał kreślić znaki pisma, i czuję w sobie, że i ona również marzy o światłości, jaką mnie przeszła!... Wyczerpany tęsknotą, przenosząc najokrutniejszą śmierć nad mękę istnienia zdala od niej, zachciałem bohaterskim rzutem boskiej prawie przebiegłości wznieść się, ja, przechodzień, aż do niej, twej córy — o, królu!

Tsze=Tang, zapewne w ruchu niecierpliwości, nacisnął wielkim palcem oko smoka. Przed oczyma Tse=I=La cicho rozwarły się dwuskrzydłe drzwi, pozwalając mu widzieć wewnątrz sąsiedniego lochu.

Trzech ludzi w skórzanym odzieniu stało obok ogniska, w którym rozżarzały się żelaza do tur Ze stropu zwisał mocny sznur jedwabny, rozchodzący się w cienkie plecionki, pod nim błyszczała mała stalowa klatka, okrągła, z otworem kolistym.

To, co widział Tse=I=La, było narzędziem okropnej Śmierci. Strasznie poranioną rozpalonem żelazem ofiarę wieszano w powietrzu na tym sznurze za kiść ręki, a wielki palec drugiej ręki zwią-

zywano ztyłu z wielkim palcem przeciwległej nogi. Wtedy przymocowywano jej ową klatkę do koła głowy i przytwierdziwszy ją postronkami do barków, zamykano, wpuszcivszy do niej uprzednio dwa wielkie wygłodzone szczury. Oprawca wprawiał skazańca w ruch wahadłowy i oddalał się, zostawiając go w ciemnościach; zjawiał się dopiero na trzeci dzień.

Na ten widok, którego okropność przerażała zazwyczaj nawet na wszystko przygotowanych, Tse-I-La rzekł zimno:

— Zapominasz, że nikt prócz ciebie nie ma mnie słyszeć.

Drzwi się zawarły

— Twój sekret? — zagrzemiał Tsze-Tang.

— Mój sekret, tyranie! To to, że moja śmierć pociągnęłaby za sobą twoją, dziś jeszcze! — rzekł Tse-I-La z błyskiem genjuszu w oczach. — Moja śmierć? Toć jej właśnie spodziewają się — czyż nie rozumiesz tego? — tam na górze ci, którzy ze drżeniem oczekują twego powrotu!... Czyż ona nie byłaby wyznaniem nicości moich obietnic? Co za radość dla nich śmiać się pocichu, w głębi swych serc morderczych, z twej zawiedzionej ławtowości? Jakżeby moja śmierć nie miała być sygnałem twej zguby?... Pewni bezkarności, wściekli, że ich nabawił trwogi, jakżeby wobec ciebie,

osłabionego w ich oczach poronioną nadzieją, mieli wahać się dłużej w swej nienawiści? — Wołaj swych oprawców! Będę pomszczony. Lecz widzę teraz: już ty sam czujesz dobrze, że jeśli dasz mi zginąć, twoje własne życie będzie kwestją godzin; i że dzieci twe, poduszone podług zwyczaju, pójdą za tobą; — i że Li-Tien-Si, córka twoja, kwiat upojenia, stanie się pastwą twych zabójców

Ach! gdybyś ty był mądrym władcą!... Przypuśćmy, że, przeciwnie, za chwilę z czołem, jakby obciążonem przepowiedzianą tajemniczą władzą widzenia, otoczony strażą, z ręką na mem ramieniu powracasz do swej sali tronowej — i tam, oblókłszy mnie własnoręcznie w suknie książęce, każesz przywieść słodką Li-Tien-Si, twoją córkę, a moją duszę! — i zaręczivszy nas, rozkazujesz swym skarbnikom wyliczyć mi oficjalnie pięćdziesiąt tysięcy liangów w złocie: przysięgam ci, że na ten widok wszyscy ci dworacy, którzy teraz w mroku trzymają w pogotowiu sztylety przeciw tobie, padną przed tobą plackiem, drżąc i błędnie tocząc przerażonemi oczyma — i że na przyszłość żaden nie ośmieli się dopuścić do głowy myśli, tobie wrogiej. Zastanów się przeto! Słyniesz, jako człowiek rozumny i zimny, jako przenikliwy mąż stanu; więc niemożliwe byłoby, aby czcza

chimera mogła naraz przeobrazić frasośliwy wyraz twego oblicza w spokój kamienny, zwycięski, niewzruszony!... Jakże to! znają cię jako okrutnika — a ty zostawiasz mnie przy życiu? Wiedzą, żeś szalbierz — a ty dochowujesz mi swej przysięgi? Znana jest twa chciwość — a ty obdarzasz mnie tak szczodrze złotem? Wiadoma jest próżność twa, jako ojca — a ty dajesz mi swą córkę za jedno słowo, mnie, nieznanemu przechodniowi? Jakaż wątpliwość ostoi się wobec takich faktów?... Na czym chcesz, żeby polegała tajemnica, tchnięta przez stare Bóstwa naszego Nieba, *jeśli nie na powszechnem przekonaniu, że ją posiadasz?*... Chodziło tylko o to, żeby je stworzyć! Ja to uczyniłem. Reszta zależy od ciebie. Dotrzymałem słowa! — Bądź spokojny, określiłem ilość liangów złota i godność, którą gardzę, jedynie poto, by wspaniałością zapłaty, wydartej twej słynnej niesumienności, dać twemu otoczeniu ocenić straszliwy walor mej zmyślonej tajemnicy

Królu Tsze=Tang, ja, Tse=I-La, który przywiązany z twego rozkazu do tego słupa wielbię w obliczu okropnej Śmierci chwałę mego mistrza, dostojnego Li=Tai=Pe o świetlanych myślach — oświadczam ci, co zaprawdę nakazuje ci mądrość. Wracajmy ze wzniesionem czołem, powiadam ci, z promiennem czołem! Okaż łaskę serca, nawie-

dzzonego przez Niebo! Gorze ci być nadal obcym miłosierdziu! Niech z twego rozkazu zajaśnieją iluminacje świąteczne, na radość ludowi, na cześć Fo (który natchnął mnie tym boskim podstępem)! — Ja zniknę jutro. Pójdę żyć z wybranką serca mego w jakiej prowincji szczęsnej i dalekiej, dzięki zbawczym liangom złota. Diamentowego guza mandarynów — który za chwilę otrzymam z twej szczodrośliwości, z tylu oznakami rzekomej dumy — mniemam, nigdy nosić nie będę, inne żywiele ambicje. wierzę jedynie w myśli harmonijne i głębokie, które przeżyją królów i królestwa, co mnie, królowi w ich państwie nieśmiertelnem, po waszej książęcej godności? Przekonałeś się, iż bogowie obdarzyli mnie sercem hartownem i rozumem, równym, nieprawdaż, rozumowi twego otoczenia? Przeto mogę pewniej, niż który z twych dostojników, rozjarzyć radość w oczach młodej kobiety Zapytaj Li=Tien=Se, moje ukochanie! Jestem pewny, iż spojrzawszy w moje oczy, powie ci to samo. — Ty zaś pod osłoną opiekuńczego przesądu będziesz panował spokojnie, a jeśli otworzysz swe oczy na światło sprawiedliwości, będziesz mógł zmienić trwogę na miłość, dokoła twego umocnionego tronu. W tem tkwi tajemnica królów godnych istnienia! Innej nie mam ci do wyjawienia. Zważ, wybierz i ogłoś wyrok! Ja skończyłem.

Tse=I=La zamilkł.

Tsze=Tang, nieruchomy, zdawał się rozmyślać czas pewien. Jego wielki milczący cień wydłużał się na drzwiach z żelaza. Niebawem podszedł do młodzieńca — i kładąc mu ręce na ramionach, wpa=trzył się w niego uparcie, w głąb jego oczu, jak=by osaczony tysiącem nieokreślonych uczuć.

Wreszcie dobył szabli i rozciął więzy Tse=I=La, poczem, zarzucając mu na szyję swój naszyjnik królewski

Pójdź rzekł.

Wyszedł po schodach z ciemnicy i oparł rękę na drzwiach, wiodących do światła i wolności.

Tse=I=La, którego triumf miłości i niespodzianej fortuny olśniewały nieco, przyglądał się nowemu darowi króla:

— Co! jeszcze i te klejnoty! — zdumiał się, któż to cię oczerniał? To więcej, niż przyrzeczone bogactwo! — Co król chce zapłacić tym naszyjnikiem?

— Twe obelgi! — z pogardą odparł Tsze=Tang, rozwierając drzwi na słońce.

AKEDYSSERIL

Święte miasto jawiło się, fioletowe, w głębi złotych mgieł; był to wieczór, w czasach zamierzchłych; śmierć gwiazdy Surja, feniksu święta, krzesła mirjady drogich kamieni na kopułach Benaresu.

Na wyniosłościach ze wschodu na zachód długie lasy palmirskich palm kołysały pozłocistą bladą modrość swych cieni nad dolinami Habadu — na przeciwnych stokach występowały kolejno w płomieniach przedmierzchu pałace mistyczne, poprzegradzane łańcami róż, o koronach, falujących tysiącami pod dusznym lekkiego wiatru powiewem. Tam, w tych ogrodach śmigały w górę fontanny, a wytryski ich spadały kroplami śniegu koloru ognia.

W centrum przedmieścia Sekrol chram Wisnu — wieczystego panował kolosalnymi kolumnadami nad miastem portale świątyni, szeroko złotą bladą lamowane, załamywały w sobie jaśnie powietrzną i sto dziewięćdziesiąt sześć przybytków Dewów, odcinając się od otoczenia, grażyło biel

swych cokółów marmurowych i obmywało scho-
dy swych przedświątynnych dziedzińców w mżą-
cych skrami wodach Gangesu, ażurowe ząbce
ich blanków wrażały się aż w purpurę zwolna
sunących obłoków.

Promieniejąca woda spała pod świętymi nad-
brzeżami, tu i owdzie nad wspaniałością rzeki
wisiały w dreszczu świetlnym żagle, i olbrzymie
miasto nadrzeczne roztaczało się we wschodnim
nieładzie, piętrząc swe ulice, mnożąc swe nieprze-
liczone domy o białych kopułach, swe monumen-
ty, aż po dzielnice Parsów, gdzie — piramidalne ling-
ham Siwy — płomienny Wissikhor zdał się pałać
w pożodze lazuru.

W głębszych dalekościach okólna aleja Stu-
dzien, ciągnące się bez końca pomieszczenia dla
wojska, bazy obwołu Wymiany, wreszcie ba-
sztty cytadeli, pobudowanej za panowania Wiswa-
mithry, rozpływały się w barwach opalu, tak czy-
stych, że znaczyły się już na nich migoty gwiazd.
I wychylając się w niebiosach poza owe krańce
widnokregu, niepomiernie wielkie figury bożyszcz,
wykute w skalnych szczytach gór Habadu, trono-
wały, rozchylając kolana w bezkres były to cy-
ple, ciosane w kształty bóstw, większość tych
sylwet wznosiła nad otchłanią, na końcu zawrot-
nego ramienia, kamienny kwiat lotusu — nieru-

chomość tych obecności niepokoiła przestwór,
mroziła życie.

Tymczasem, na schyłku tego dnia, w Benare-
sie triumfalny uroczysty szum zdumiewał zwykłą
ciszę odwieczery Tłum wypełniał poważną ra-
dością ulice, place publiczne, aleje, rozstaje i piasz-
czyste drogi po obu brzegach rzeki, bowiem stra-
że na Basztach świętych uderzyły młotami z bron-
zu w swe gongi, skąd znagła jakoby zahuczał
grom. Ten sygnał, odzywający się jeno w do-
niosłe momenty, zwiastował powrót Akedysseril,
młodej triumfatorce nad dwoma królami Agry —
wysmukłej wdowy o perłowej cerze i rażących
blaskiem oczach, — słowem, monarchini, która,
z żałobą na swej szacie ze złotogłowu, wślawiła
się przy szturmie Elefanty czynami bohaterstwa,
co rozpłomieniło dokoła niej męstwo tysięcy.

*

Akedysseril była córką pasterza, Gwajlora.

Pewnego dnia, w głębi doliny w okolicach Be-
naresu, w jesienne południe łaskawe Dewy za-
wiodły drogami przypadku nad brzeg krynicy,
gdzie młoda dziewa kąpała stopy, łowcę bizonów,
Sinzaba, królewica, syna Seira Łaskawego, który
wówczas panował nad niezmierzonym krajem Ha-
badu. I w jednej chwili czar naznaczonego przez
los dziecka wzniecił w całej istocie młodego ksią-

żęcia boską miłość! Gdy ujrzał ją raz jeszcze, rozgorzały niebawem zmysły Sinzaba tak gwałtownie, iż sercem olśnionem wybrał ją na swą małżonkę jedyną, — tak oto dziecię przewodnika trzód stało się przewodniczką ludów

Zaczem stała się rzecz taka: w niedługi czas po cudownym związku książę — którego ona również kochała bezpamiętnie — zakończył życie. I rozpacz rzuciła na starego króla cień, pod którym człowiek się zgina, z taką siłą, że wszyscy usłyszeli po dwakroć w Benaresie wycie pogrzebowych psów Yamy, boga co przyzywa, — i lud musiał wznieść pospiesznie podwójny grobowiec.

Odtąd, czyż nie na młodego brata Sinzaba — na księcia Sedźnura, jeszcze dziecko prawie, winno było przejść dziedzictwo dynastyczne tronu Seira, pod dostojną opieką Akedysseril? Być może nikt nie określi granic sprawiedliwości żadnego prawa śmiertelnych.

W ciągu rychłych dni wznoszenia się jej losu — słowem, za życia Sinzaba — córka Gwaljora, już nawiedzana przez tajne przewidzenia, o sercu, pełnem troski o przyszłość, swem zachowaniem się drwiła promiennie ze wszelkich praw, obcych tym jedynym, jakie uświęca siła, odwaga i miłość.

Ah! jak ona umiała polityką hojności w roz-

dawaniu dostojęństw i złota stworzyć sobie na dworze Seira, w armji, w stolicy, w radzie wezyrów, w Państwie, w prowincjach, wśród przywódców braminów partję, której potęgę czas nieprzerwanie umacniał!... Lękając się teraz, jakie jutro przyniesie wstąpienie na tron nowego monarchy, którego natura nawet była jej nieznana — gdyż Seir życzył sobie, by młodość Sedźnura kształciła się zdala od domu, u mędrców Nepalu — Akedysseril, skoro tylko rada nakazała wezwać młodego księcia do powrotu, postanowiła wyzwolić się zgóry od przeciwności, jakie kaprys nowego władcy mógłby jej gotować. Umyśliła pochwycić, wbrew wszelkim spornym obowiązkom, władzę w swe ręce. Podczas nocy monarszej żałoby ta, która czuwała, wysłała tedy na przeciw Sedźnura oddziały sowarysów, wypróbowanej wierności i zainteresowania w jej sprawie, oddanych jej i ambicjom jej losu. Książę został znienacka pojmany razem ze swą eskortą, zarówno jak córka króla Sogdjany, księżniczka Yelka, jego oblubienica, przybyła na jego spotkanie z nielicznym orszakiem.

I stało się to w chwili, gdy oboje jawili się sobie po raz pierwszy, na drodze, w świetle nocy

Od tej chwili więźniowie Akedysseril, żyli oboje młodzi strąceni z tronu, odosobnieni jedno

od drugiego w dwóch pałacach, rozdzielonych szerokim Gangesem, i strzeżeni przez straż surową.

Uzasadniała to podwójne odosobnienie racją Stanu gdyby jednemu z nich udało się zbiec, drugie pozostałoby jako zakładnik, a tych dwoje, urzeczywistniając prawo przeznaczenia, obiecane narzeczonym w starożytnych Indjach, mimo że ukazali się sobie raz jeden tylko, stali się myślą jedno drugiego i pałali ku sobie płomieniem miłości wieczystej.

*

Rok bezmała panowania umocnił władzę w rękach królowej, która, wierna smętkowi swego wdowieństwa i, być może, pełna jeno ambicji zejścia do mogiły sławną, piękną i wszechwładną, obchodziła się z grozącymi jej królami hinduskimi, jak zuchwała zaborczyni! — Jej przenikliwy umysł czyż nie potrafił spotęgować rozkwitu Państwa! Dewy sprzyjały losom jej oręża. Cały kraj uwielbiał ją, z miłością ulegając magii spojrzenia tej wojownicy — tak urocznej, iż z jej rąk śmierć otrzymać było łaską, którą nie szafowała.

I przytem rozeszła się szeroko legenda sławy o jej nadzwyczajnej wartości na polu bitwy: nie raz legjony hinduskie widziały, jak w najgorętszym zamęcie walki jawiła się, cała promieniejąca i nieustraszona, ukwiecona kroplami krwi, na ciężkim

od drogich kamieni haodahu swego bojowego słonia i, niedbala o grad dzirytów i strzał, wyniosła błyskawicą swej krzywej szabli wskazywała zwycięstwo.

Oto dla czego powrót Akedysseril do stolicy po wielomiesięcznej wojującej tułaczce lud przyjmował uniesieniem radości.

Gońcy uprzedzili miasto, gdy królowa znajdowała się w odległości niewielu już godzin. Teraz można było już zdaleka odróżnić przednie strażę w czerwonych turbanach i wojska w żelaznych sandałach, spuszczające się ze wzgórz; królowa przybędzie zapewne drogą z Suratu, wkroczy do miasta główną bramą fortecy, zostawiając swą armję na obozowisku w siołach okolicznych.

Już w Benaresie, w głębi alei Pryamwada, biegały pochodnie pod terpentynowcami; niewolnicy królewscy iluminowali lampami co tohu olbrzymi pałac Seira. Mieszkańcy zrywali gałęzie pokłonne, a kobiety usypywały wielkimi kwiatami drogę wjazdową do pałacu, przecinającą wpoprzek aleję Richisów, co wychodzi na plac Kama; tłumy co i raz przychylały się, nasłuchując, jak ziemia drży pod wtargnięciem wozów wojennych, maszerującej piechoty i fal konnicy

Naraz dały się słyszeć głuche dźwięki tymbryłów, zmieszane ze szczękiem oręża i łańcuchów,

i melopee mosiężnych fletni, łamane donośnemi uderzeniami cymbałów. I oto zewsząd kohorty awangardy wchodziły do miasta, ze wzniesionemi godłami, wykonywając bezładnie komendę drących się na całe gardło sowarysów.

Na placu Kama esplanada bramy Suratu była wysłana temi płowemi kobiercami z Irmensulu i z daleka pochodzącemi rękodziełami Ypsambu — tkaninami o pstrej przygasłej wzorzystości, jakie przywożą doroczne karawany kupców turańskich, wymieniających je na eunuchów.

Między gałęziami palm arekowych i palmirskich, mangowców i sykomorów, wzdłuż bulwaru nad Gangesem, powiewały bogate materje z Bagdadu na znak radości. Pod baldachimami bramy Zachodniej, na dwóch rogach olbrzymiego przed-sionka fortecy oczekiwał olśniewający orszak dworzan w długich haftowanych sukniach, braminów, oficerów pałacowych, otaczających wezyra-gubernatora, obok którego siedziało trzech wezyrów-gikowarsów Habadu. Będą dane igrzyska dla ludu, będą między lud podzielone łupy z Elefanty — piasek złoty też — a przedewszystkiem będą urządzone przy blaskach samotnej pochodni w rozległym* obrębie cyrku owe nocne walki nosorożców, za którymi szaleli Hindusi. Mieszkańcy lekali się tylko, czy rany nie nadwyrężyły piękności

królowej; zasypywali pytaniami zdyszanych gońców; z wielkim trudem zdołano ich uspokoić.

Na wolnem miejscu, pozostawionem między wyniosłemi, ciężkimi trójnogami z bronzu, skąd dobywały się modrawe dymy kadzideł, wiły się w girlandach procesje bajader, okrytych świetlistą gazą; bawiły się one łańcuchami pereł, migocąc wygięciami sztyletów, udawały ruchy zmysłowe, spory również, by przydać swym rysom ożywienia; — było to u wylotu alei Richisów na drodze, wiodącej do pałacu.

*

Na przeciwległym krańcu placu Kama otwierała się w milczeniu najdłuższa aleja. Od tej od wieków odwracano oczy. Ciągnęła się ona opuszczona, nasycając mrokiem na całej swej głębokiej pustej przestrzeni sklepienia z czarnego listowia. Przed wejściem do niej widniał długi szereg psyllów, z opasanemi szarawą szmatą biodrami, przy dźwiękach ostrej muzyki tańczyły przed nimi węże, wyprostowane, na końcu ogona.

Była to aleja, wiodąca do świątyni Siwy. Żaden Hindus nie zapuściłby się pod pokrywę jej straszliwych gałęzi. Dzieci przywykły nie mówić o niej nigdy — nawet szeptem. A że radość roz-pierała dzisiaj serca, nie zwracano najmniejszej uwagi na tę aleję. Moznaby rzec, iż teraz nie

istniała ona tam, ziejąca kolistym mrokiem, ze swym wyglądem mary sennej. Według prastarej tradycji, w pewne noce z każdego liścia sączyła się kropla krwi, i ta fala czerwonych łez padała smutnie na ziemię, rozpuszczając grunt ponurej alei, której cały przeciąg był nasycony cieniem samego Siwy.

*

Wszystkie spojrzenia badały widnokrąg. — Czy przybędzie, zanim noc zapadnie? I była to niecierpliwość, wraz skupiona i radosna.

Tymczasem zmierzch przesycił się lazurem, złotawe płomienie gasły, i w błędnym niebiosach już — gwiazdy...

W chwili, kiedy boska kula ważyła się na skraju przestworu, gotowa zapaść w otchłań, dłużej strugi ognia przebiegły, falując po oparach zachodu — i oto w tym samym momencie u wyjścia z wąwozów, między temi odległymi wzgórzami, gdzie gubiła się droga z Suratu, pojawiły się w migotliwych tumanach kurzu chmury jeźdźców, po czem tysiące lanc, wozy wojenne — i ze wszystkich stron, wieńcząc wyniosłości, wyrosły fronty falang piechoty, w brunatnych kaftanach, w płowych sandałach, ze spiżowymi nagolennikami o sterzących śmiertelnych kolcach z przodu: zjeżony las pik, których wszystkie prawie groty, wrażone w od-

cięte głowy, trącały jedna o drugą w okrutnych pocałunkach, co krok. Dalej — eskortując toczący się na kołach sprzęt machin oblężniczych i niezliczone nosze z łoziny, zaprzężone w silne dzikie osły, gdzie na posłaniu z liści spoczywali ranni, inne oddziały piesze z dzirytem lub wielką procą u pasa, wreszcie wozy prowiantowe. Była to prawie cała awangarda, pośpiesznie spuszczała się po pochyłych drózkach ku miastu, przenikając w nie dokolnie przez wszystkie bramy. Niedługo potem ostre dźwięki trąb królewskich, jeszcze niewidocznych, odpowiadały tam z dołu na grzmot poświęconych gongów, huczących nad Benaresem.

Niebawem przypadli w galopie oficerowie przedniej straży, oczyszczając drogą, krzycząc przeróżne rozkazy i wiodąc za sobą kołyszącą się karawanę ciężkich sań, obładowanych po brzegi trofeami, bogatą zdobyczą, kosztownościami — łupem wojennym, między dwoma legionami jeńców, kroczących z pochylonymi głowami, z brzękiem łańcuchów, na których czele jechali na swych ciężkich tarantowatych rumakach dwaj królowie Agry. Królowa w triumfie swym wiodła ich do stolicy, choć z wielkimi honorami.

Za jeńcami szły rydwany bojowe o promienistych frontonach, kierowane przez dziewy w rumianych od posoki zbrojach, niektóre broczące

krwią z ran, źle przewiązanych, z wielkim łukiem, ukośnie przewieszonym przez ramię, krzyżującym się na plecach z kołczanem strzał były to wojownicze służebne straszliwej pani.

Wreszcie, wznosząc się nad tym całym błyskotliwym chaosem, w pośrodku półkola, utworzonego przez sześćdziesiąt trzy słonie bojowe, dźwigające sowarysów i wybitnych wojowników — za którymi waliła tam ze wszech stron olbrzymia wizja zachłannej armji — ukazał się czarny, o złoconych kłach, słoń Akedysseril.

Na ten widok całe miasto, dotychczas nieme i porwane wraz dumą i osłupieniem, wyrzuciło z siebie swe konwulsyjne uniesienie piorunowym okrzykiem; tysiące palm wzniesionych zatrzepotało w powietrzu; była to entuzjastyczna furja radości.

Już, w późnej jaśni przestworu, można było odróżnić kształt królowej Habadu, która stojąc między czterema lancami swego baldachimu, odcinała się, mistycznie biała w swej złotej sukni, na dysku słonecznym. Widać było na jej śmigłej kibici gwiazdzisty pas, do którego przyczepiała swój bułat. Sama poruszała palcami lewej ręki łańcuszek swego wierzchowca — olbrzyma.

Za przykładem Dewów, wykutych w dali na szczytach gór Habadu, wznosiła w prawicy kwiat władcy Indyj, lotus złoty, zwilżony rosą rubinów.

Wieczór, który ją oświeślał, zalewał purpurą wspaniały jej orszak. Między nogami słoniów wisały wyraźne, na bladej czerwieni oddali, końce trąb i wyżej, wpoprzek, szerokie drgające uszy, podobne liściom drzew palmowych. Niebo rzucało błyskawicami zarzewie na ostrza kości słoniowej, na drogie kamienie turbanów, na żelazo toporów

I ziemia stękała głucho pod ciężarem tego orszaku.

I wciąż między krokami tych kolosów, których sięjące trwogę półkole zasłaniało przestwór, potworna czarna chmura, ruchoma, zdawała się wznosić ze wszech stron, kołem i stopniowo z krańców horyzontu. to była armja, wyrastająca tam, za nimi, piętrząca poprzecinane przez tysiąc dromaderów potężne swe linje.

Kiedy królowa Habadu była już nie dalej, jak na rzut strzały od Bramy Zachodniej, orszaki miejskie ruszyły naprzód drogą, by ją powitać.

I wszyscy poznali niebawem wzniosłe oblicze Akedysseril.

*

Ta śnieżna córka rasy słonecznej była wysokiego wzrostu. Wpadająca we fiolet purpura, przytępiona długimi diamentami jej zwiędłego w bitwach zawoju opasywała, poprzedzielana wysokimi

złotemi kolcami, bladeść jej czoła. Rozwiew jej włosów na plecach smukłych i muskularnych zlewał swe modrawe cienie na złotej tkaninie sukni z opaskami diademu. Rysy jej miały czar przyciągający który z początku niecił raczej niepokój, niż miłość. Jednak mnóstwo dzieci w Habadzie, ujrawszy ją raz, wiedło z tęsknoty za nią skrycie.

Brzask bladego bursztynu, nasycający jej ciało, ożywiał kontury jej kształtów: niby owe przezroczyste powietrzne, których biel przenika jakby wewnętrznie zorza, zamglona przez szczyty himalajskie.

Pod poziomym bezruchem długich brwi dwie ciemnobłękitne jasności w omdlewających powiekach Hinduski, dwoje wspaniałych oczu, obciążonych marzeniem, wydzielało dokoła niej magję, przeistaczającą wszelką rzecz na ziemi i na niebie. Przesycaly one nieznanym czarem wyroczny dziw tej twarzy, której piękności, gdy się ją raz ujrzało, niepodobna było już zapomnieć. I wydatność skroni wyniosłych, delikatny owal policzków, okrutnie cienkie nozdrza, drgające pod wiatr niebezpieczeństwa, usta, malowane blaskiem krwi, podbródek milczącej wydzierczyni, ten uśmiech wiecznie poważny, w którym świeciły zęby pantery, — cały ten zespół, tak oto przymglony dalekiem pomrocem, nabierał najmagnetyczniejszej ponęty,

gdy się uległo promieniowaniu jej gwiazdzistych oczu.

Nieprzenikniona zagadka była ukryta w jej wdzięku peri. Gdy wieczorami igrała ze swemi towarzyszkami broni pod namiotem lub w ogrodach pałacowych i gdy która z nich wdzięcznem słowem wyrażała swój podziw nad nieskończonemi pragnieniami, jakie wzniecała na swej drodze heroiczna pani Habadu, — Akedysseril śmiała się swym śmiechem tajemniczym. Och! posiadać, pić, jak poświęcone wino, barbarzyńskie i słodkie smętki tej kobiety, złoty dźwięk jej śmiechu — kosztować, miażdżyć idealnie na tych ustach sny tego serca w oddawanych pocałunkach — cisnąć w objęciach, bez słowa, płynną falistą pełnością tego zaczarowanego ciała, wdychać jego rozkoszną twardość, zatracić się w niem — w otchłani jej oczu zwłaszcza!.. Myśli, od których pękały zmysły, skąd bił szal, nie znajdujący w tych dostojnych spojrzeniach wdowy o rozpaczliwej czystości — oddźwięku. Jej istota, skąd dobywała się ta beznadziejna pewność, wzniecała, podczas najgorętszych szturmów i starć oręża, u młodych wojowników jej legionów głód ran, otrzymanych tam, pod blaskiem jej żrenic. I jeszcze, z całego rozkwitłego kielicha jej piersi, z niej całej wydzielał się zapach subtelny, nieoczekiwany! oszałamiający! — i taki... że — w zamęcie

walkę pierś o pierś zwłaszcza — jakieś czary brały na męki walczących obok niej! rozpłomieniając jej opętanych obrońców nieokiełznaną żądzą śmierci w cieniu jej osoby... poświęcenie, jakie podniecała niekiedy nadludzkiem spojrzeniem, pełnem takiego szaleństwa, że zdawała się w niem oddawać.

Były to, w promiennej mgłę jej zwycięstw, wspomnienia, jej samej jeno znane i wywoływane we snach.

✱

Taką jawiła się Akedysseril, wkraczająca teraz w bramę cytadeli. Przez chwilę słuchała, być może, słów pozdrowienia i miłości, któremi witali ją panowie; zaczęła, na znak nieuchwytny, rydwany jej wojownic z łoskotem gromu minęły sklepienia i rozwinęły się promienistym półkolem na placu Kama. Radosne okrzyki ludu przywoływały ją popychając tedy swego słonia pod przedsięwzięcie Suratu i na rozścielone kobierce, monarchini Habadu weszła do Benaresu.

Nagle wzrok jej padł na opisaną aleję, w głębi której majaczyła w oddali starożytna, olbrzymia, zrujnowana fasada chramu Siwy

Wzdrygając się — na jakieś wspomnienie zapewne zatrzymała swego wierzchowca i rzuciła rozkaz swym elefantadorom, którzy rozwinęli stopnie haodahu po bokach zwierzęcia.

Zeszła lekką stopą. — I oto, niby istoty, wywołane przez jej pragnienie, trzech faodżów w czarnych turbanach i tunikach — donosicieli pewnych i przebiegłych — obarczonych, z pewnością! jakąś misją bardzo sekretną podczas jej nieobecności, wyrosło, jak z pod ziemi, przed nią.

Roztopiono się przed nimi na życzenie jej oczu. Wówczas faodżowie, nachyleni dokoła niej, szepotali, jeden po drugim, długo, długo bardzo ciche słowa, których nikt nie mógł słyszeć, lecz które wywarły na królowej wrażenie tak straszne i wzmagające się w miarę jak słuchała, że jej błędne oblicze oświecił naraz refleks okropnej groźby.

Odwróciła się, poczem głosem szorstkim, co zadrgał w ciszy oniemiałego placu

— Rydwan! — krzyknęła.

Najbliższa z jej faworyt zeskoczyła na ziemię i podała jej jedwabne wodze, przeplecione drutem miedzianym.

Wskakując na opuszczone miejsce

— Niech nikt mi nie towarzyszy! — dorzuciła.

I wpatrywała się nieruchomemi oczyma w pułstą aleję. Obojętna na osłupienie swego ludu, na dreszcz trwogi, który rzuciła na oniemiałe miasto, Akedysseril, puszczając konie w siejący skry cwał, przewracając przerażonych psyllów, miażdżąc węże pod błyskami kół, zanurzyła się, sama jedna, niby

światliśta strzała, pod czarne podcienia Siwy, ciągnące okropność swej pustki aż do fatalnej świątyni.

Niebawem ujrano, jak maleje w oddali i staje się smuzką jasności, potem — migotem gwiazdy.

Wreszcie wszyscy ujrzeni ją niewyraźnie, gdy dotarłszy do północnego wylotu drogi, zatrzymała konie przed bazaltowymi wschodami, ponad którymi, na wyniosłości, rozpościerały się zewnętrzne dziedzińce świątyni ze swymi głębokimi kolumnadami.

Podtrzymując jedną ręką fałdy swej złotej sukni, wstępowała teraz tam w dół na postrach budzące stopnie.

Stanąwszy przed portalem, uderzyła w bronzowe drzwi głowicą swej szabli trzema tak strasliwymi uderzeniami, iż echo, niby dźwięczna skarga, doszło, osłabione przez odległość, aż do placu Kama. Na trzecie wezwanie tajemnicze wierzeje rozstały się bezgłośnie. Akedysseril, jak wizja, weszła do wnętrza gmachu.

Gdy jej osoba zniknęła, wysokie szczęki metalowe, rozwarte na jej wezwanie, zawarły swój mroczny ziew za nią, pchnięte przez niewidzialne ręce sainów, młodszych kapłanów siedziby bóstwa.

•

Córa Gwaljora, gardząc wszelkiem oglądaniem się wstecz, zapuściła się w amfiladę zgubnych sal,

utworzonych przez przerwy kolumn, — a chłód kamieni potęgował donośność jej kroków.

Ostatnie refleksy umierającego słońca, poprzez otwory, wykute jedynie od strony Zachodu w najgrubszej części wysokich ścian, oświetlały jej samotny pochód. Jej drgające źrenice badały zmierzch dokolny. Ciżmy bojowe, krwawe jeszcze od ostatniej bitwy (lecz to nie mogło być niemiłe bóstwu, któremu stawiała czoło), dzwoniły w ciszy Czerwieniejące blaski, ukośnie padające z otworów ściennych, wydłużały na płytach cienie bóstw.

Szła po tych cieniach ruchomych, muskając je swą złotą szatą.

W głębi, na spiętrzeniu bloków porfiru, wyrsała groźna wizja kamienna, koloru nocy

Siedzący kolos rozszerzał się w rozwartych łędźwiach, nadając kształt postaci Siwy, pierwiastkowego wroga Istnienia=Powszechnego. Proporcje jego były takie, że sam jeno tors jawił się. Oblicze bożyszczka nie do wyobrażenia gubiło się, jak w myśli, w nocy sklepień. Posąg bóstwa krzyżował ośmioro swych ramion na grobowej piersi — i kolana jego, rozciągając się w przestrzeni, dotykały z dwóch stron ścian przybytku. Na wzniesieniu o trzech stopniach spadała szeroka purpura, zawieszona między kolumnami. Kryła ona jamę, wydrążoną w środku potwornego cokółtu Siwy.

Tam, poza nieprzeniknioną zasłoną, rozciągał się ułożony pochyło ku portykom, kamień Ofiar

Od zamierzchłych czasów Indyj, przed każdą północą bramini siwaici, na zew gongu, wypełzali tłumem z podziemnych cel, wlokąc do przybytku ludzką istotę — która niekiedy przybywała sama do świątyni, jako ofiara dobrowolna, uniesiona pogardą dla życia. W kolistym blasku od samego jeno ognia na ołtarzu, żadna bowiem lampa nie paliła się w przybytku Siwy, kapłani rozciągali na kamieniu tę ofiarę, nagą, przymocowaną miedzianymi łańcuchami za cztery kończyny

Niebawem płonęły pochodnie sainów, oświetlając skupione otoczenie braminów. Na znak Arcykapłana Ofiarnik Siwy, oddzielając każdy swój krok pauzą, posuwał się naprzód. poczem, pochylając się wolno nad kamieniem, jednym cięciem szerokiego ostrza otwierał w milczeniu pierś ofiary

Wtedy, opuszczając ołtarz, pijany nabożeństwem do niszczycielskiego bóstwa, Arcykapłan zbliżał się, przeklinając nieba. I zanurzając szponowate ręce w tej ranie, którą rozszerzał z siłą, przetrząsał w niej naprzód ohydę wnętrzości. Zaczem wyciągał z nich ramiona i wznosił je jak można najwyżej, ofiarowując Wyobrażeniu bóstwa wyrwane bez namysłu serce, którego fibry krwa-

wiące i oślizgłe zwisały mu między palcami, rozłożonemi zgodnie z rytuałem kapłańskim.

Monotonny pomruk braminów, unoszonych ekstazą, chrapliwie zawodził dokoła niego starożytny hymn do Siwy (wielkie Złorzeczenie Światłości), im tylko znany. Pod koniec śpiewu kapłan upuszczał swą drgającą ofiarę na ogień święty, który pożerał ostatnie jej skurcze: i gorący dym, zmazujący winę istnienia, wznosił się wzdłuż ukłojonego łona boga. Ta ceremonia, zawsze tajemna, była tak krótka, że o mury świątyni obijał się zawsze jeden tylko wielki krzyk.

*

Tego wieczoru, na trzystopniowem wzniesieniu, poza którym rozciągał się zasłonięty na całej swej długości Kamień ofiar, stał jedyny widzialny mieszkawiec pustki chramu — a wygląd tego człowieka był równie mrożący, jak wygląd jego boga.

Olbrzymia nagość tego starca o lędźwiach, przepasanych ciemnym łaćmanem, o pozbawionym ciała kośćcu w obwisłej białawej skórze z szeleszczącymi fałdami, który zdawał się być mu już obcym — odcinała się na krwawej czerwieni ciężkich draperyj.

Niewzruszoność tego oblicza o potężnej czaszce bez brwi i rzęs, bez zarostu i bez włosów, którą w tej chwili muskał na odchyleniu skroni ognik

plamy słonecznej, przyprawiała o zawrót głowy
W jamach orbit ocznych pod ich nagimi łukami
pełgały dwa błyskawicowe światelka, króre, zdawało
się, widzieć mogły jeno Niewidzialne.

Między temi oczyma wielki dziób orli padał
na usta, podobne do jakiejś starej rany, zbielewał
z braku krwi i zamykającej mistycznie szeroki pod-
bródek. Sama tylko wola płonęła w tem wychu-
dzeniu krańcowem, którego śmierć nie mogła już
wyczuwalnie zmienić, zespół bowiem tego, co Czło-
wiek nazywa Życiem, zdawał się unicestwiony
w tym widmowym ascecie.

Ten żywy trup po wielokroć stuletni był to
Wielki Pontifex Siwy, kapłan o okropnych rękach,
Anachoreta o imieniu, przez niego samego już za-
pomnianem, którego zgłosek zapewne nikt ze śmier-
telnych nie odnalazłby inaczej, jak nocą, w pusty-
niach, słuchając uważnie ryku tygrysa.

✱

Ku niemu to szła płonąca gniewem Akedysseril
to był właśnie ów człowiek, na którego widok
porywała ją wściekłość, zdradzająca się rozdygota-
niem jej piersi, ściąganiem i rozszerzaniem jej no-
zdrzy, drżeniem jej warg

Dotarłszy wreszcie przed niego, królowa zatrzy-
mała się, wpatrywała się weń chwilę bez słowa,

poczem zaczęła głosem, co rozległ się stanowczy,
młody, dźwięczny w przejmującej trwogą pustce
olbrzymiego grobowca

— Braminie, wiem, żeś się wyzwolił z naszych
radości, z naszych pragnień, z naszych cierpień
i że twe spojrzenia stały się ciężkie, jak wieki.
Kroczysz, otoczony mgłą boskiej legendy. Pasterz,
kupcy kordofańscy, myśliwi, polujący na rysie
i dzikie woły, widzieli cię, nocą, na górskich ście-
żynach, jak zanurzałeś czoło w niezmierzonych
jasnościach nawałnicy i cały oświetlony błyskawi-
cami, których moc paląca tępiła się o ciebie, głuchy
na łoskot niebios, załamywałeś spokojnie w głębi
swych źrenic wizję boga, którego nosisz w sobie.
Wbrew żywiołom naszych otchłani przerzucałeś
się duchem ku uświęconej Nicości twej starej nadziei.

Jakże więc grozić tobie, niedostępny! Oprawcy
moi daremnie wysilałiby na twym żywym zewłoku
swą starożytną wiedzę, a moje najpiękniejsze dzie-
wice,—swe uroki. Nieczułość twoja czyni władzę
moją bezsilną. Więc poskarżę się twemu bogu.

Postawiła stopę na pierwszej płycie przybytku,
poczem, wznosząc oczy ku wielkiej twarzy cienia,
zatraconego w wysokich mrokach świątyni:

— Siwo! — krzyknęła — Boże, którego lot
niewidzialny okrywa trwogą nawet światło sło-
neczne,—Boże, coś stanął naprzeciw *Nieobjawione*

go, potępiając i skazując owo kłamstwo wszechistnień..., które potrafisz zniszczyć — jeśliś czuła kiedy, dokoła siebie, w walkach twą tępielską obecność, wysłuchasz, Ojcie wyroczej Mądrości, córy światła dziennego, która śmie zakłócać ciszę twego domu oskarżaniem przed tobą twego kapłana.

Przypomnij sobie, skoro to jest cechą Bogów zajmować się w tak szczególny sposób skargami ludzi! — Niewiele zórz zabłysło nad mem królowaniem, Siwo, gdy zmuszona przekroczyć ze swą armją Iaxart i Oxus, musiałam wejść zwycięska do płonących miast Sogdjany, której król upominał się o swą córkę jedyną, brankę moją, Yelkę. Wiedziałam, że ludy Nepału skorzystają, tutaj, z tej dalekiej wojny, by obwołać królem Habadu tego..., którego nie mogłam się zdecydować zgubić, słowem, Sedźnura, ich księcia, brata, niestety! Sinżaba, mego niezapomnianego małżonka. Jeśli ja byłam zdobywczynią, zali Sedźnur nie był potomkiem rodu Ebbahara, najdawniejszego z królów?

Zwyciężyłam, w Sogdjanie! I musiałam po powrocie przywrócić swą władzę nad buntownikami, którzy odtąd uznali mnie za mężną i wspinałomyślną, w napisach trwałych.

Wtedy to, by zapobiec nowym powstaniom i innym wojnom, Rada mych wezyrów Stanu w Benaresie postanowiła usunąć sam przedmiot tych

rozruchów, w imię dobra państwa. Wydano więc wyrok śmierci na Sedźnura i na moją brankę, jego oblubienicę — i Indje zaklinały mnie, by coprędzej wyrok wykonać dla zapewnienia nareszcie trwałości memu tronowi i dla pokoju.

Wobec tej alternatywy дума moja, wzdrygając się, nie chciała zmniejszać siebie stawianiem czoła wyrzutom takiej zbrodni. Niech będą memi jeńcami — przyjmowałam ze smutkiem, o, Boże beznadziejnych rozmyślań tę nieuniknioną niesprawiedliwość!... lecz żeby się mieli stać memi ofiarami?... Tchórzostwo niewdzięcznego serca! Samo wspomnienie takiego czynu pohańbiłoby na zawsze całą dumę mej istoty! — I przytem, Boże zwycięstw! ja nie jestem zgoła okrutna, jak córki bogatych Parsów, których nuda lubuje się widokiem śmierci, kobiety wielkiej odwagi, zahartowane w bojach, stworzone są z łaskawości — i ja, podobnie jak jedna z mych siostrzy w sławie, byłam, Siwo, wychowana przez gołębicę.

Tymczasem życie tych dzieci było ciągle niebezpieczeństwem. Trzeba było wybrać między ich śmiercią a wszystką krwią szlachetnych, jaka dla ich sprawy bezwątpienia byłaby jeszcze przełana! Czyż miałam prawo pozostawić ich przy życiu, ja, królowa?

*

Ach! postanowiłam przynajmniej ujrzeć ich raz jeden na własne oczy — by osądzić, czy godni są tego niepokoju, jaki targał moją duszę. Pewnego dnia, o pierwszych blaskach zorzy, wdziałam swe odzienie z dawnych czasów, kiedy w dolinach naszych pasażerów trzody ojca mego, Gwaljora. I jako nieznajoma, udałam się do miejsc ich pobytu, zatraconych wśród pól różanych, na przeciwnych brzegach Gangesu.

O, Siwo! powróciłam olśniona wieczorem!... I gdy się znalazłam sama, w tej sali pałacu Seira, gdzie zostałam i gdzie trwam wdową, melancholij życia przygniotła mnie swym brzemieniem: uczułam się bardziej wzruszoną, niż mogłabym być przypuścić!

O, czysta para istot uroczych, co dziwiły się bez nienawiści ku mnie! Życie ich oddychało jedną tylko nadzieją: ich miłostnego związku!... na wolności czy w niewoli!... na wygnaniu bodaj!... Ten młodzian krwi królewskiej, o przeczystym wejrzeniu i którego rysy przypominały mi rysy Sinzaba! To dziewczę czyste i tak miłujące, tak piękne!... dusze ich rozdzielone, lecz nie rozłączone, przywoływały się wzajem i wiedziały o sobie, że jedna należy do drugiej! Żali nie tak rasa nasza pojmuje i odczuwa, od niepamiętnych czasów, w naszych wzniosłych Indiach uczucie miłości? Wiernej, nieśmiertelnej!

Oni — niebezpieczeństwem, Siwo? — Toć Sedźnur, wychowany przez mędrców, dzięki składał Losom, że oszczędziły mu trosk panowania! Z uśmiechem żałował mnie, że tak jestem zmęczona namiętnem przejmowaniem się trudami rządów! Książę, niedbały o sławę, uważał za błahostkę te idealne wawrzyny, których sam blask błądząco okrywa me lica!... Kochać się! Takie było — zarówno jak i dla jego kochanki, Yelki — jedyne królestwo! I, powiadał, mieli wszelką pewność, że połączę ich rychło — ile że sama byłam kochana i byłam wierna!...

*

Akedysseril, skrywszy na chwilę swą wdową twarz w dłonie promienne, ciągnęła dalej:

— Odpowiedzieć tym dzieciom posłaniem im oprawców? Nie! Przenigdy! — Więc jak rozwiązać? Skoro śmierć tylko może położyć niepowrotnie kres uporczywym zabiegom stronników jakiegoś władcy — a Indie żądały ode mnie pokoju?... już nowe rokosze groziły: trzeba mi było jeszcze wystąpić oręźnie przeciw Indo-Scytji... — Niespodzianie dziwna myśl oświeciła mnie! Było to w przeddzień wyruszenia przeciw tuziemcom gór arachozyjskich. O tobie tylko myślałam, Siwo! Opuściwszy nocą swój pałac, przybiegłam tutaj sama jedna: — przypomnij sobie, pochmurne bóstwo!

I błagałam o pomoc, przed twym przybytkiem, twego mrocznego kapłana.

Braminie, rzekłam doń, wiem, że ani mój tron, którego biel skrzy się od tyłu drogich kamieni, ani armja, ani uwielbienie ludów, ani skarby, ani władza tego niepokalanego lotusu — nie, nic nie może dorównać w upojeniu pierwszym rozkoszom Miłości ni jej namiętym torturom. Gdyby można było umrzeć z zachwyty nocy poślubnej, serce moje nie biłoby w piersi od owej godziny, gdy bladą i promieniejącą Sinżab obezwładnił mnie swemi pocałunkami, niby łańcuchami.

A jednak, gdyby przez jakieś czary było możliwe, żeby te dzieci skazane *umarły z rozkoszy tak żywej, tak przenikającej, tak jeszcze nieoświadczonej, by ta śmierć wydała im się pożądalsza od życia?* Tak, przez jedną z tych dziwnych sił magicznych, które nas rozpraszają, jak cienie, gdybyś ty mógł spotęgować nawet ich miłość, natężyć ją jeszcze przez jakąś właściwość Siwy rozpłomienieniem pożądań — być może ogień ich pierwszych uniesień wystarczyłby do przetrawienia więzów ich zmysłów w zemdleniu bez przebudzenia! — Ach! gdyby ta śmierć niebiańska była możliwa, czyż nie byłaby ona rozjemcą, skoro zadali by ją sami sobie. Taka tylko śmierć wydawała mi się godna ich dobroci i ich piękności.

Na te to słowa owe usta mroczne, wciągając do sprawy twą boską obietnicę, odpowiedziały mi ze spokojem

— Królowo, spełnię twe życzenie.

Na to zapewnienie twego kapłana, z mego rozkazu dano mu wolny wstęp do pałaców mych więźniów. Zgóry pocieszona pięknością swego przestępstwa, o świcie następnego dnia wyruszyłam na czele wojsk ku Arachozji, skąd powracam, znowu zwycięska, Siwo! dzięki twemu cieniowi i mym wojownikom, dzisiejszego wieczoru.

Otóż, przed chwilą, skorom tylko przekroczyła progi cytadeli, zdjęła mnie troska o ów cud wyroczny, niewątpliwie dokonany podczas mej nieobecności. Już z myślą o poświęconych darach ofiarnych, patrzyłam na otoczenie tej świątyni, gdy naraz zjawili się moi faodżowie i odkryli mi całą wobec mnie dwulicowość tego tutaj zgrzybiałego starca.

Monarchini-wdowa spojrzała na fakira — zaledwie lekkie drżenia głosu zdradzały furję, nad którą panowała.

— Zaprzecz mi! — ciągnęła —, powiedz nam, jakimi rozkoszami starałeś się ukwiecić dla tej idealnej pary młodzieńczej pochyłą drogę obiecannej śmierci? jakich ekstaz łzami potrafiłeś zasłonić im oczy zachwycone? w jakich nieznanach dresz-

czach miłosnych dałeś rozpętać się ich zmysłom aż do owego śmiertelnego wyczerpania, w którym, marzyłam, zgasną ich istoty Nie! Milcz!

Moi faodżowie, podsłuchując w tajnych miejscach ścian, szpiegowali cię — a ja mam podstawy do cenięcia ich wiernej przenikliwości... No, możesz podnieść na mnie swe oczy! Kto mi rzuca spojrzenie, co podbija, temu ja odrzucam spojrzenie, co zgnębia, bo nie jestem z tych, które ulegają czarom!

O, czysty księżę, Sedźnurze, cieniu niewinny, — i ty, biała Yelko, taka słodka, dziewczeco! — Dzieci, dzieci!... oto ten dręczyciel, którego tam, gdzie teraz jesteście, należy oskarżyć o zbrodnię przed bóstwami bez litości, które nie kochały

Chcę wiedzieć, czemu ten syn kobiety zapomnianej krył przede mną tę nienawiść, jaką nosił w sobie niezawodnie do jakiegoś monarchy, z rodów, z których wyszło tych dwoje, i jaką zamierzał wykonać zemstę nad tem niewinnem potomstwem! Bo jakże inaczej wytłumaczyć sobie twoje dzieło, braminie? chyba że twoje okrutne wrodzone instynkty doprowadziły z biegiem czasu do szafu twoją starość jałową, i czyniąc to, byłeś niepoczytalny... a znów wobec doskonałości ich podwójnej katuszy, jakże w to uwierzyć?

A więc to tylko zapomocą słów, prawda?

*jen*o zapomocą słów sprowadziłeś na ich dusze tajemniczą agonję, aż wreszcie ta śmierć dobrowolna, w której radziłeś im szukać ucieczki przed cierpieniami, uwolniła ich od tego... że cię posłuchali!

Tak, ja odgaduję, kapłanie, całokształt tego wyrafinowanego przestępstwa: — i wiedz, że jedynie pogardzie mej zawdzięczasz, iż w tej oto chwili głowa twoja nie spada i nie toczy się po tych płytach, krzywoprzysięstwem twem sprofanowanych!

Akedysseril, której oczy nieciły snopy iskier, podjęła, goryczą teraz sycąc słowa:

— Jak tylko powaga twego wyglądu zjednała ci zaufanie tych jasnych dusz, rozpocząłeś to przekłętą dzieło. I nasamprzód postawiłeś sobie za zadanie zniszczyć prostotę ich wzajemnego uczucia. Technieniem jakich ciemnych podszeptów wysuszyłeś soki miłosne w tych młodych łodygach, które więdnąc, poczęły odtąd ginąć na twoją radość. — to ci chcę powiedzieć!

Starcze, potrzeba ci było, by każde z nich uczuło się samotne! A więc — według tego, coś dał im słyszeć, — *zali każde z nich nie miało przeżyć drugiego, zapomnianego, i panować, dzięki moim życzeniom, w dalekich krajach, przy boku istoty królewskiego rodu i pełnej miłości, a dzisiaj już przenoszanej nad obecną?* .

Jakim sposobem mogłeś ich o tem przekonać? — Lecz ty umiałeś dać na to tysiąc dowodów!... Odo-sobnione, czyż mogły te dzieci zamienić ze sobą to jedno spojrzenie, co przedarłoby chmurę dymu twojej zemsty, niby promień słońca? Nie! Nie. Triumfowałeś — i zaraz ci odsłonię, powiadam, dzięki jakiemu ohydnemu podejściu! Czysty ogień ich żył, rozżarzany bez przerwy przez niszczące napady zazdrości, przez melancholję opuszczenia, tyś potrafił rozpłomienić pragnieniami do tego stop-nia, że stał się szaloną żądzą cielesną — dzięki prze-konaniu, w jakie zanurzałeś ich serca, o niemożno-ści posiadania się wzajemnego. Między ich siedzi-bami, co dnia, przebywając Ganges, czyniłeś ze siebie na świętych wodach rodzaj strasznego gońca łąz, trwogi, umarłych złudzeń i pożegnań.

Ach! doniesienia mych faodżów są grunto-w-ne. oświeciły mnie one co do pewnej obmierzłej władzy, jaką rozporządzasz! Zaświadczyli oni pod przysięgą na Dewów Pokuty wiekuistej, że niema broni tak strasznej, któraby sprostała użytkowi, do jakiego twój mroczny genjusz potrafi nagiąć słowa ludzkie. Na twym języku, zapewniają oni, krzyżują się, według twojej woli, błyskawice bar-dziej zwodnicze, bardziej olśniewające i bardziej zabójcze, niż te, które wytryskują w bojach z za-machów naszych szabli, gdy zamierzamy się w jed-

no miejsce dla uderzenia istotnie gdzieindziej. I skoro jakiś duch złowrogi potrząsa swą pochod-nią na dnie twoich zamierzeń, ta sztuka, ta wła-dza raczej obraca się naprzód, w...

Tutaj królowa, przymykając nawpół powieki, zdawała się gonić błyskiem między rzęsami w błęd-nych mrokach świątyni nie niewidzialną, gubiącą się, falującą i symbolizującą w ten sposób analizę, w jaką zapuściły się jej myśli, gładziła dwoma wysmukłymi bladymi palcami brzeg jednej z brwi, wyciągając drugą rękę ku braminowi.

— w odległe przypuszczenia, subtelnie motywowane, po których następowały oktopne mil-czenia... Zaczem głos twój, przechodząc w szcze-gólny sposób z tonu w ton, budzi... jakąś nieo-kreśloną mękę, której cień, przesuwający się po czołach, śledzisz bez przerwy. A wtedy — tajem-nica wszelkiego zwyciężonego rozumu! — dziwny *zbieg brzmień*, tak, bez żadnego prawie znacze-nia — a których magiczne sekrety dobrze ci są znane — wystarcza ci do muśnięcia naszych mó-zgów nieuchwytnym, mrozącym niepokojem! ta-kiemi mętnymi podejrzeniami, że niebawem jakiś lęk nieznany dławi tych nawet, których czuwająca nieufność zaczynała patrzeć na ciebie badawczo. Za późno. Słowo twoich warg przybiera wtedy modre i zimne odbłaski mieczów, łuski smoczej,

drogich kamieni. Pęta ono, fascynuje, szarpie, olśniewa, jątrzy, dusi.. a ma skrzydła! Od jego tajnych ukąszeń miłość krwią broczy, i rany to nieuleczalne. Ty znasz sztukę wzniecania — by je zawsze zawieść — ostatnich nadziei! Załedwie czynisz przypuszczenia.. a oto przekonywasz silniej, niż gdybyś dawał dowody. Jeśli udajesz, że uspokajasz, od twej złowrogiej troskliwości człowiek błędnie. I według twej woli śmiertelna złośliwość, ożywiająca twą myśl syczącą, jeśli kiedy chwali, to zawsze poto tylko, by odwrócić uwagę od ukośnych strzał twych rezerw, które jedne tylko mają znaczenie — ty wiesz o tem dobrze, boś ty jest, jak zły umarły. Węchem plugawym i zimnym potrafisz odmierzać siłę, z jaką rażą te strzały tego, co słów twych słucha. Nareszcie znikasz, zostawiając w umyśle, który postanowiłeś w ten sposób nasycić trującym fluidem, zarodek trawiącego smutku, który czas potęguje, który sen nawet podsyca i który niebawem staje się tak ciężki, tak gorzki i tak posępny, że życie traci wszelki smak, że czoło się chyli, przytłoczone, że łazur niebios zda się pokalany, odkąd na nie spojrzaleś, że serce ściska się na zawsze — i że proste istoty mogą z takiego smutku umrzeć. Więc to potęgą działania tej zabójczej mowy — twego przywileju, braminie! — upodobałeś sobie zaciekle,

dzień w dzień miąć — niby w piszczelach twych rąk — podwójny kielich tych młodych czystych dusz — ty, upiorze, duszący dwie róże nocą!

I kiedy wargi ich oniemiały, oczy stały się sztywne i bez łzy, uśmiechy pogasły na dobre, kiedy brzemień ich męki przeszło to, co serca ich unieść mogły, nie przestając bić, kiedy przestali nawet przeklinać mnie, niby święte bogi, ty potrafiłeś wzmóc w każdym z nich naraz to pragnienie zatracenia nawet pamiątki swych istot, aby tylko wybawić się od katuszy istnienia bez wierności, bez wiary i bez nadziei, w szponach ustawicznej męki niczem nie nasyconych pragnień posiadania się wzajem. I tej nocy, tej nocy dałeś im rzucić się w głębiny rzeki — mówiąc sobie, być może, że przecie potrafisz zwieść mnie w sprawie ich śmierci.

Była chwila wielkiej ciszy w chramie, po tych słowach.

Kapłanie, dodała jeszcze Akedysseril, chociaż w sobie marzenie, które tyś się podjął z nieprzymuszonej woli ziścić. Byłeś tutaj świętokradczym pośrednikiem twego boga, którego nieskazitelność wiekuistą pohańbiłeś swą zdradą, każdy bowiem wiarołomca poniża w miarę zdradzonej obietnicy samą istotą tego, który go do spełnienia jej wydoskonalif lub natchnął! Chcę tedy wiedzieć,

dłaczegoś mnie wyzwał· czem objaśnić, że ten przewlekły zamach nie znużył zgoła twej uporczywości! Ty mi na to odpowiesz.

Odwróciła się, niby długa złota smuga, ku głębiom chramu, pogrążonym w mrokach. I głos jej, stając się w jednej chwili ostry i donośny, zbudził, jakby gwałtem, w nagłych podrzutach echa olbrzymich sal dokoła niej

— A teraz, okryci zasłonami fakirzy, widma błędzące między kolumnami tej siedziby, wy, co kryjąc wasze krwi chciwe ręce, jawicie się chwilami, zdradzani jedynie przez szybki cień, jaki rzucacie na mury, — słuchajcie groźnego głosu kobiety, co wczora jeszcze służebnica tych, którzy rozumieją się na symbolach i dotrzymują słowa bogów, dziś mówi do was, jako władczyni, bowiem jej słowa to nie puste dźwięki zważyłam na zimno całą ich nieopatrność — i nie na mnie kolej teraz drzeć.

Jeżeli w tym momencie ten milczący asceta, wasz władca, uchylił się od mego żądania, dając mi niejasne odpowiedzi — zanim upłynie godzina, ja, przysięgam na to! Akedysseril, sprowadzam tutaj moje dziewice bojowe i przejedziemy, stojąc w muszlach naszych pozłocistych rydwanów, ze śmiechem, w dymie, rozrzucając pożar z naszych płonących pochodni w głębie czarnych gęstwin

waszej odwiecznej alei! Moja potężna armja, jeszcze pijana triumfem, stoi u bram Benaresu i wkroczy do miasta na me wezwanie. Ściśnie ona pierścieniem tę budowlę, odtąd opuszczoną przez swego boga! I tej nocy, jak noc długa, pod ponawianymi wciąż uderzeniami mych spiżowych taranów rozwałą się głazy, bramy, portyki! Klnę się, iż gdy błysnie zorza, chram runie i że w perzynę obrócę potworną pustą łupinę, kędy w ciągu wieków czuwał sam duch Siwy! Milicje moje, których liczba jest straszliwa, swemi maczugami ze spiżu zetrą na proch te skaliste złomy, zanim słońce jutro — jeśli jutro oglądać nas będzie — dosięgnie wyżyny nieba! A wieczorem, gdy wiatr przybieży z mych dalekich gór — przed którymi inne góry ziemi biją czołem — i rozniesie ten cały obłok czczych pyłów po równinach, dolinach i lasach Habadu, powrócę ja, mścicielka z memi wojownikami, na naszych czarnych słoniach — tratować ziemię, kędy się wznosił prastary chram! Uwieńczone świeżym lotusem i różami, one i ja, na tych ruinach uderzymy w złoto naszych puharów, krzyżąc gwiazdom w pieniach zwycięstwa i miłości imiona dwu pomszczonych cieniów! A podczas tego moi oprawcy staczać będą, jedną po drugiej, ze stosu gruzów, jakie pozostać jeszcze mogą z waszych zburzonych dziedzińców, głowy wasze

i dusze w otchłań tego pierwotnego Niebytu, który nadzieja wasza wyobraża sobie! Rzekłam.

Królowa Akedysseril, z rozfalowaną piersią, z rozedrganemi usty, opuszczając powieki na swe wielkie błękitne oczy, całe w płomieniach, umilkła.

•

Wtedy Sługa Siwy, obracając ku niej swe blade granitowe oblicze, odpowiedział jej głosem bez dźwięku

— Młoda królowo, wobec użytku, jaki czynimy z życia, myślisz uczynić nam ze śmierci groźbę? — Posłałaś nam skarby, rozrzucone wzdłuż przez naszych sainów na stopniach tej świątyni — dokąd żaden żebrak Indyj nie śmie przyjść, by je pozbić! Mówisz o zniszczeniu tej świętej siedziby? Piękna rozrywka — i godna twych przeznaczeń — nasłać bezmyślnych żołdaków z rozkazem starcia na proch martwych głazów! Duch, który ożywia i przenika te głazy, jest jedyną świątynią, jaką one przedstawiają sobą — gdy on odwołany, świątynia w rzeczywistości już nie istnieje. Zapominasz, że on to jedynie, ten Duch święty, tobie samej daje władzę, której twój oręż jest jeno uzmysłowionym wyrazem. I że jemu tylko zawsze zawdzięczałabyś możliwość zniszczenia formy, pod której przypadkiem duch ten wciela się tutaj. Kiedyż bo świętokradztwo dosięże innego boga niż

istotę samą tego człowieka, który był dość niešťęśny, by dokonać szaleństwa świętokradztwa!

Przychodzisz do mnie w myśli, że Mądrość Dewów nawiedza w szczególniejszy sposób tych, co jak my, przez posty, krwawe umartwienia i modły zachowują jasność własnego rozumu w niezależności od odurzenia trunkiem, jadłem, lękiem lub żądzą. Przyjąłem życzliwie twe życzenia, ponieważ były one piękne i posępne, nawet w swej kobiecej płochości, zobowiązując się je ziszczyć — przez szacunek dla krwi, która cię okrywa. — I oto, od pierwszych zaraz kroków twego powrotu, twój przenikliwy umysł oddaje się w ręce inteligencji donosicieli — których ja nie raczyłem nawet widzieć —, by sądzić, oskarżać i przeklinać moje dzieło, przenosząc to nad zwrócenie się po prostu do mnie nasamprzód, by je poznać.

Widzisz to sama, język twój utworzył, do prawdy napróżno, dźwięki, od których drgają jeszcze echa tego gmachu, — i jeśli podobało mi się słuchać aż do końca twych harmonijnych i już tak zapomnianych zniewag, to dlatego, iż — choćby był nawet bez podstawy i bez przyczyny — gniew młodych zabójczyń o oczach pełnych chwały, ognia i marzenia jest zawsze miły Siwie.

Tak oto, królowo Akedysseril, pragniesz — a nie wiesz, co to pragnienie urzeczywistnia! Wpa-

trzona jesteś w pewien cel i nie troszczysz się zgoła o jedyny środek osiągnięcia go. Zapytałaś, czy jest w mocy Wiedzy=świętej wprowadzić dwie istoty w ten namiętny stan zmysłów, kiedy raptowna przemoc Miłości mogłaby zniszczyć w nich, w błysku tego samego momentu, siły życia? . Zaprawdę, jakich innych czarów, krom zgoła naturalnego zastanowienia, miałem użyć, by ziścić ten zamiar urojony?

Śluchaj — i racz cofnąć się pamięcią wstecz.

Kiedyś ofiarowała kwiat samej sobie młode-mu małżonkowi, kiedy Sinżab zerwał ten kwiat w promieniejących szczęściem objęciach, przenigdy żadna dziewica, wołałaś, nie drżała w płomieniejszej rozkoszy, i byłaś osłupiona, tak mnie zapewniałaś, tem, iż przeżyłaś tę niebezpieczną ekstazę zachwycenia.

Bowiem — przypomnij sobie — dla ciebie, już obdarowanej berłem, z ambitnemi rojeniami w głowie, z sercem rozproszonem na tysiączne troski przyszłości, niepodobieństwem było oddać siebie całkowicie. Każda z tych rzeczy zatrzymywała na dnie twojej pamięci cząstkę twojej istoty i nie należąc już do siebie w całości, niewyraźnie i mimo-woli przylegałaś myślą — nawet ogarnięta czarem tego małżeńskiego uścisku — do ponęt tych rzeczy, obcych Miłości.

Czemuż przeto dziwić się potem, Akedysse-ril, że przeżyłaś niebezpieczeństwo, na któreś się nie narażiła?

Znałaś już również brzegi tej czary, gdzie pieni się upojenie niebios, znałaś przedwstępny woń pocałunków, których idealny wyraz musnął twoje usta, stępując boskie przyszłe wrażenie. Przyjrzyj się swemu wdowieństwu, o, piękna wdowo po miłości, która potrafisz z taką swobodą przeżyć swój ból! Jakoż miało cię zabić posięście istoty — której nawet utrata widzi cię żywą?

Bowiem, młoda kobieto, twoja noc weselna była jeno gwiazdną nocą. Jej iskrząca się błądźliwość była zupełnie podobna do błądźliwości tysięcznych modrych zmierzchów, zgromadzonych na firmamencie i ledwie osłaniających się jeden przed drugim. Błyskawica Kamadewy, Pana miłości, przejęła je zaledwie błądźliwością trochę świetlistszą, lecz przelotną! A to nie w takie łagodne noce serca ludzkie mogą być rażone jego potężnym piorunem!

Nie! Jedynie w nocie beznadziejnej, czarnej i pełnej rozpacz, w nocie, podszeptującej śmierć, kiedy żaden żal rzeczy utraconych, żadne pragnienie rzeczy rojonych nie dyszą już w ludzkiej istocie, nic, krom miłości samej: — jedynie w takiej nocie taka czerwona błyskawica może zaśnić, przetrząść brózdą przestwór i unicestwić tych, w któ-

rych uderzy! W takiej tylko próżni Miłość nareszcie może swobodnie przeniknąć do serc, do zmysłów i do myśli z taką mocą, iż rozpuści je w sobie jednym śmiertelnym wstrząśnieniem! Bowiem prawo boskie chciało, by natężenie rozkoszy mierzyło się wielkością rozpacz, przecierpianej dla niej wtedy tylko rozkosz owa, ogarniając wraz całą duszę, zapala ją, pożera płomieniem i może ją wyzwolić

Dlatego to nagromadziłem dużo nocy w istotach tych dwojga dzieci uczyniłem ją nawet mroczniejszą i bardziej spustoszoną, niż mogli ci to powiedzieć faodżowie!. Teraz zaś, królowo, co do czarów, jakimi rozporządzają starożytni bramini, czy przypuszczasz, że twoi tacy przenikliwi szpiedzi znają, na przykład, wnętrza tych wielkich skał, z których szczytu twoi młodzi skazańcy chcieli wczorajszego wieczoru rzucić się do Gangesu?

Tutaj Akedysseril, wyrывая z pochwy swą szablę, przedłużającą w tym ruchu błysk jej oczu, krzyknęła, nie panując już dłużej nad swym gniewem

— Szalony barbarzyńco! podczas gdy ty mi tutaj wygłaszasz wszystkie te czcze sentencje, co zabiły moje drogie ofiary, ach! rzeka toczy pod gwiazdami, poprzez trzciny ich ciała niewinne! A więc, Nirwana cię woła. Bądźże unicestwiony!

Jej oręż zakreślił płomienisty łuk w ciemnościach. Chwila jeszcze — i asceta, rozciąty w lędźwiach silnym ciosem młodego ramienia, przestałby istnieć. Nagle odrzuciła precz od siebie, daleko broń i od rozlegającego się w ciszy brzęku zadrżały znowu mroki świątyni.

Bowiem — nie podnosząc nawet powiek na oskarżycielkę — ponury arcykapłan wyrzekł półgłosem, bez wzdargy, bez lęku i bez dumy ten jeden wyraz:

Patrz.

*

Na to słowo rozchyliła się na dwie strony wielka zasłona ołtarza Siwy, pozwalając dojrzeć wnętrza pieczary, nad którą wznosiło się bożyszcze.

Dwóch ascetów, z powiekami opuszczonemi według rytuału kapłańskiego, podtrzymywało u bocznych ścian przybytku szerokie krwawe fałdy kołtary

W głębi tego okropnego miejsca zapalone były trójnogi, jak w godzinę składania ofiar. Symbole Ducha Siwy, tamując swobodne wznoszenie się płomieni trójnogów, sprawiały, że te wielkie płomienie, odrzucane przez krzywizny wysoko umieszczonych blach złotych, padały odbłaskami niepokojącej jasności na kamień ofiar. U wezgłowia tego kamienia stało dwóch sainów, nieruchomych,

ze spuszczone mi oczyma, wznosząc wysoko pochodnie.

A tam, na tem łożu z czarnego marmuru, ja=wiły się rozciągnięte, blade bladością nieba dwie młode czarowne istoty. Śnieżne fałdy przejrzystych tunik weselnych zdradzały niepokalane linje ich ciał, świetlistość ich uśmiechu zwiastowała w nich wschód zorzy, rozkwitłej w niewidzialnych, rumianych złotym świtem regionach duszy; i ta jutrzienka tajemnicza przeobrażała ich nieruchomość w wiekuiłą ekstazę.

Zaprawdę, jakieś uniesienie nadludzkiej szczęśliwości, przechodzące siły, jakie bogowie odmierzili śmiertelnym do znoszenia wzruszeń, musiało wyzwolić ich z życia, gdyż błyskawica Śmierci odcisnęła wyraziste odbicie tego uniesienia na ich twarzach! Tak, oboje mieli na sobie piętno idealnej rozkoszy, której niespodziany piorun zdruzgotał ich życie.

I tam, na tem posłaniu, gdzie złożyli ich bramin Siwy, zachowywali jeszcze pozę, w jakiej Śmierć — której z pewnością nie zauważyli zgoła — przyszła chwycić ich znienacka, musnąwszy istoty ich swym cieniem. Zemdleli, zatraceni w niej, w sposób nadzwyczajny, dając dwoistości swych

złanych pierwiastków zapaść się w nicość w tym jednym jedynym momencie miłości — jakiej żadna inna para śmiertelnych nie pozna przenigdy. I te dwa posągi mistyczne wcielały tak oto marzenie o żądzy, dostępnej jedynie sercom nieśmiertelnym.

Młodzieńcza piękność Sedznura w swej promiennej bieli zdawała się wyzywać mroki. Trzy=mał przegiętą w swych objęciach istotę swej istoty, duszę swego pożądania, — a ona, z białą głową, odrzuconą w ruchu ramienia, obejmującego szyję ukochanego, zdawała się uśpiona w szale zachwycenia. Dostojna ręka Yelki opadała na czoło Sedznura. jej piękne połyskujące włosy rozwijały po nim i po niej swe czarne fale, a wargi jej, rozchylone ku jego wargom, ofiarowywały mu, w pierwszym pocałunku czystość jej ostatniego tchnienia. — Chciała ona zapewne przyciągnąć w słodkim wysiłku usta swego kochanka do kielicha swych ust, dając mu w ten sposób uczuć jednocześnie delikatny i drogi zapach swej dziewiczej piersi, którą przyciskała jeszcze do tych piersi umiłowanych!... I to w samym owym momencie, gdy wszystkie rozpacz, gdy wszystkie pożegnania, wszystkie tortury duszy zaledwie się zacierały we wzajemnem uniesieniu ich nagłego połączenia!... Tak, zmartwychwstanie zbyt raptownie rozkoszne tyłu niespodziewanych i czystych upojen, czarowny

odwet tego wylewu uczucia, serdeczny wstrząs tego piorunnego uścisku, który oboje uważali za nigdy nie ziszczalny, uniosły ich jednym uderzeniem skrzydła z tego życia w niebo ich własnego marzenia. I zaiste, byłoby dla nich męką przeżyć tę chwilę nieporównaną!

*

Akedysseril patrzała w milczeniu na cudne dzieło Arcykapłana Siwy.

— Zali sądzisz, że gdyby Dewy dały ci władzę zbudzenia ich, ci wyzwoleni zechcieliby teraz przyjąć nędzę Życia? — rzekł nieprzenikniony fakir z akcentem, w którym triumfowała surowa ironja; — widzisz, królowo, oto ty sama im zazdrościsz!

Nic nie odparła wzniosłe wzruszenie zasłaniało jej oczy. Podziwiała, złożywszy splecione dłonie na ramieniu, ziszczenie swego niesłychanego marzenia.

Naraz olbrzymi zgłęb, rycząca fala tłumu i gęsty szcęk oręża, mącąc jej kontemplację, dały się słyszeć z zewnątrz świątyni — i ciężkie podwoje runęły na płyty wnętrza.

Na progu, nie śmiać wejść, ujrawszy królową Benaresu, oświeconą jeszcze w głębi chramu przez płomienie przybytku i obróconą teraz do nich twarzą — trzech wezyrów, przychylonych, patrzyło w nią, z bronią w garści, z gotowością mordu w wejrzeniu.

Za nimi wojownice ukazywały swe młode głowy groźnych Apsarasów, o żrenicach, płonących niepokojem o los swej pani z trudem powstrzymywały się dziewy bojowe od wtargnięcia do siedziby boga.

Dokoła nich, jak okiem sięgnąć, armja, śród nocy

Wtedy cały ten przyzew do życia, i smutek jej władzy, i obowiązek zapomnienia urody marzeń! aż do pożegnania utraconej miłości — cała niewola, wreszcie, Sławy wzdęta głębokiem westchnieniem pierś Akedysseril i dwie pierwsze łzy, dwie ostatnie też łzy w jej życiu! zabłyśły kroplami rosy na liljach jej boskich policzków.

Lecz — niebawem — było już tak, jakby bóg jakiś tędy przeszedł i znikł! — Prostując swą wyniosłą postać na najwyższym stopniu ołtarza.

— Vice=królowie, wezyrowie i sowarysi Habadu! — zagrzmiała tym głosem, znanym w bi twach i który odbiły echem wszystkie kolumnady posępnego gmachu — postanowiliście śmierć księcia, dziedzica tronu Seira od śmierci Sinzaba, mego królewskiego małżonka, skazaliście na stracenie Sedźnura i wraz oblubienicę jego, Yelkę, księżniczkę tej bogatej krainy, którą wreszcie za wojowaliśmy naszym orężem!

Oto oni!

Odmawiajcie modlitwę za cienie dostojne, które w otchłani Ducha siłą się dotrzeć do boskiego Cwargi! — Śpiewajcie na ich cześć, wojownice, i wy, drodzy wojownicy! hymn Yadzur=Weda, słowo Szczęśliwości! Niechaj Indje, pod mojem panowaniem, niestety! nareszcie za tę cenę obdarzone pokojem, zakwitną na nowo, na obraz ich lotusu, wieczystego Kwiatu!... Lecz niechaj zarazem ścisną się serca tych, w których duszach gości powaga: bowiem jedna z wielkości Azji zanikła na tym kamieniu!... Wzniosły ród Ebbahara wygasł.

August hr. de Villiers de l'Isle-Adam ur. się 7 listopada r. 1838 w Saint-Brieuc w Bretanji, zmarł w Paryżu 19 sierpnia r. 1889. Z nowel, zamieszczonych w książce niniejszej, UCZUCIOWOŚĆ („*Sentimentalisme*”) i DUKE OF PORTLAND pochodzą ze zbioru p. t. „*Contes Cruels*”, wydanego po raz pierwszy w Paryżu w r. 1883, — PRZENIKLIWOŚĆ ASPAZJI („*Sagacité d'Aspasie*”), — PRZYGODA TSE=I=LA („*L'aventure de Tse-I-La*”) oraz AKEDYSSERIL wyjęto z edycji, sporządzonej po śmierci autora z rzeczy, przedtem już wydanych, i ogłoszonej p. t. „*Derniers contes*” (Paris, *Mercure de France*). — Przekłady nowel Villiers'a, tu przedrukowane, ukazały się po raz pierwszy wśród 20 opowieści, wybranych przez tegoż tłumacza z trzech tomów oryginału i wydanych w r. 1913 p. t. „Wybór pism” w „*Mużach*”, biblj. lit.-art. pod red. Jana Lorentowicza (Warszawa, nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S=ów).

Red. «Książek Ignisa»



22756

SPIS RZECZY

<i>Przenikliwość Aspazji</i>	<i>str. 5</i>
<i>Uczuciowość</i>	<i>" 11</i>
<i>Duke of Portland</i>	<i>" 25</i>
<i>Przygoda Tse-I-La</i>	<i>" 36</i>
<i>Akedysserif</i>	<i>" 49</i>
<i>Od redakcji</i>	<i>" 97</i>

K S I A Ż K I I G N I S A

- Nr 1. ADAM MICKIEWICZ
Tom pierwszy poezji 1822
- Nr 2. CYPRJAN KAMIL NORWID
Autoportret
- Nr 3. A. VILLIERS DE L'ISLE-ADAM
Akedysserif
- Nr 4. ROBERT LUDWIK STEVENSON
Klub samobójców
- Nr 5. ADOLF DYGASIŃSKI
Łabędzia woda

W D R U K U

- Nr 6. *Żywot Łazika z Tormesu*
- Nr 7. GOTFRYD KELLER
Romeo i Julja na wsi
- Nr 8. CHARLES BAUDELAIRE
Moje serce obnażone
- Nr 9. JENS PETER JACOBSEN
Mogens
- Nr 10. JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
Ucieczka do Bagdadu